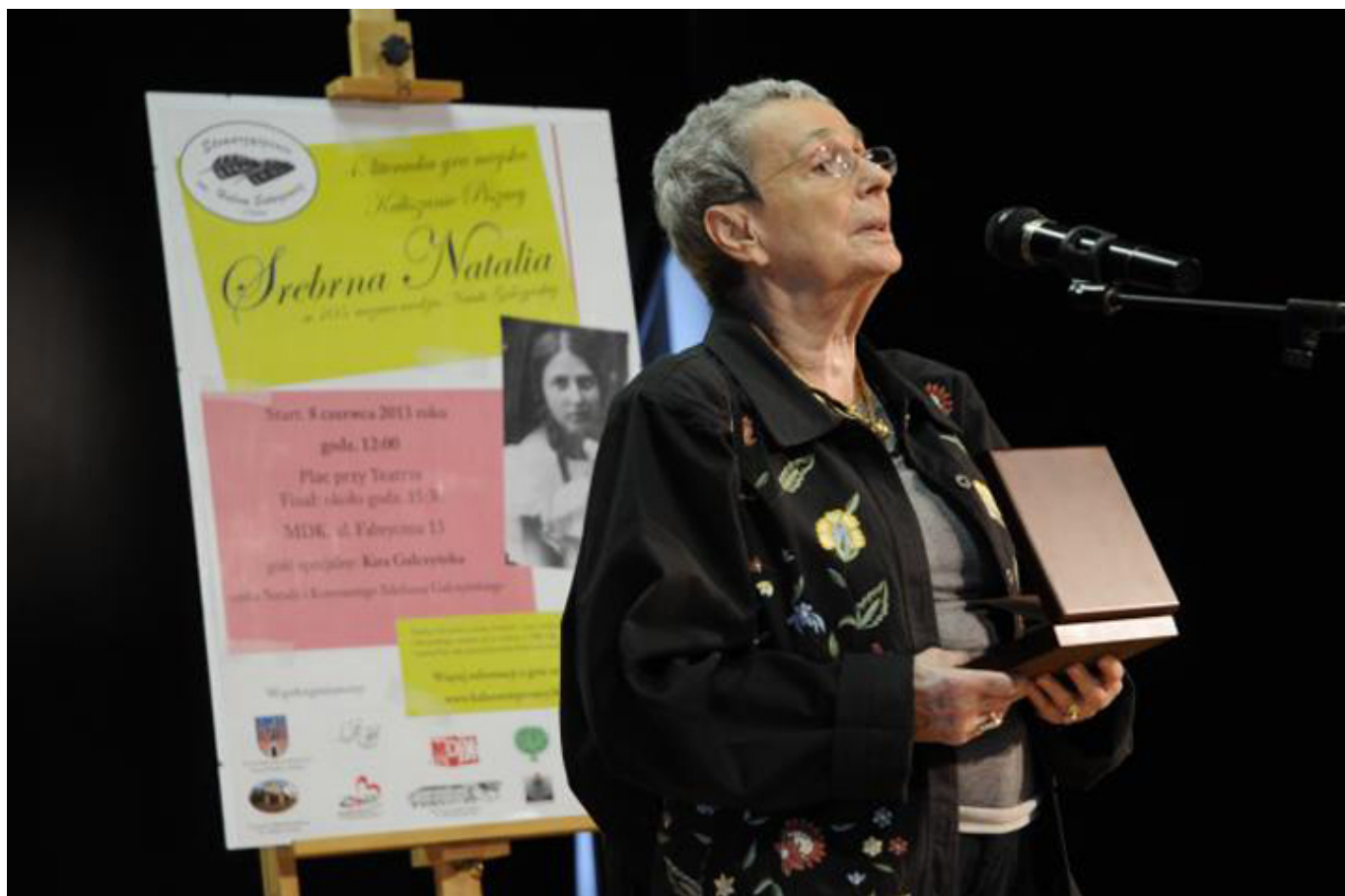


Srebrna Natalia

Rozmowy o książkach, które nie przemijają.



Kira Gałczyńska podczas spotkania z czytelnikami, fot. Rafał Saganowski.

Z Kirą Gałczyńską, córką Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, na temat książki o jej matce, rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.

O, zielony Konstanty, o srebrna Natalio!

Cała wasza wieczera dzbanuszek z konwaliaq;

Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą,

Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,

Widać podjadł, a wyście przejedli i fanty -

O, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!

Konstanty Ildefons Gałczyński

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Mamy „Zielonego Konstantego”, mamy też „Srebrną Natalię”. Jest to przepiękna książka, prawdziwa i ludzka. Jak długo nosiła Pani w sobie zamiar napisania książki o swojej matce?

Kira Gałczyńska: O tej książce myślałam od dawna, wielokrotnie się do niej zabierałam. Ona miała już ze 30 początków. Ale to wszystko było nie tak, jak sobie wyobrażałam książkę o Natalii. Po prostu nie umiałam jej napisać. I wtedy zdecydowałam: trzeba lecieć do Gruzji, poszukać śladów moich dziadów, dotrzeć do jakichś archiwów, zobaczyć miejsca, skąd pochodzili. I tak się stało. Trzy tygodnie pobytu w Gruzji pozwoliło mi tę ważną dla mnie książkę napisać w cztery miesiące. Po roku od tej niezapomnianej podróży opowieść o Natalii trafiła do księgarń.

JSG: Fascynująca jest Pani opowieść pierwszej podróży do Gruzji w październiku 2005 roku, która była również podróżą w głąb siebie, w głąb przeszłości swojej rodziny. Dotarła Pani dalej, niż udało się to Pani matce, poznała Pani losy swojego dziadka, księcia Konstantego Nikołajewicza Awaliszwili - korneta gruzińskiego pułku.

KG: Gruzja otworzyła mnie na wiele spraw, dzięki niej zrozumiałam wiele cech charakteru mojej matki - jej pogodę, hart ducha, dzielność, umiłowanie poezji, wierność dla najbliższych, lojalność... Te wszystkie niezwykle cechy charakteru wykształcił w niej (poza innymi gruzińskimi przodkami, o czym mówią przekazane geny) jej ojciec, Konstanty Awaliszwili - mój dziad. I choć - Konstanty i Natalia, ojciec i córka - przeżyli wspólnie jedynie sześć lat, jego wpływ na całą psychikę Natalii i jej późniejsze życie był ogromny. Z tego wszystkiego nie zdałabym sobie sprawy, gdyby nie wyjazd do Gruzji, gdyby nie poznanie niezwykle, wspaniałych ludzi.



Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.



Natalia Gałczyńska, fot. z książki „Srebrna Natalia”.

JSG: Czy podróż w przeszłość miała wpływ też na Panią, na Pani poczucie tożsamości, przynależności do trzech kultur polskiej, rosyjskiej i gruzińskiej?

KG: Moje poczucie tożsamości kształtował zawsze mój dom. Dom, muszę dodać, pod każdym względem niezwykły. Od najwcześniejszych lat zdawałam sobie sprawę z tego, że w moich żyłach płynie krew trzech narodowości, to otwierało przede mną niebywale wprost perspektywy - bycia w naturalny zupełnie sposób obywatelem

świata, obywatelem Europy. Bez uprzedzeń narodowościowych czy rasowych, za to z otwartością na każdego wartościowego człowieka. Bo tolerancja w moim domu była codziennością. To jedna z najważniejszych lekcji wyniesionych z domu na całe życie.

JSG: Tak pięknie opisuje Pani przeszłość swojej mamy, więzi rodzinne, owiane legendą historie o księżniczce z dalekiego zamku, o dawnych czasach pięknej Gruzji. Wzruszająca jest spisana przez Panią „opowieść Natalii”, o poznaniu Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego, o pięknym, barwnym i szalonym, ale i jednocześnie trudnym życiu z niezwykłym poetą. Ale po śmierci Pani ojca, mimo, że pisze Pani dalej o matce, przytacza Pani jej listy z podróży statkiem, to jednak nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że ta historia, w stosunku do poprzednich, przebiegała skrótowo, tak jakby życie Natalii Gałczyńskiej po śmierci męża przebiegło w przyspieszonym tempie. Czy zgadza się Pani z moimi odczuciami?

KG: Czy życie Natalii po śmierci poety przedstawiłam istotnie skrótowo? Jeśli tak to Pani odebrała, to jest w tym jakaś moja „niedoróbka”. Nie chciałam tego. Starłam się przedstawić prostą prawdę, że owe 23 lata życia przeżytych samotnie, nie były ani tak barwne, ani tak niezwykle i wypełnione bogactwem doznań, jak 23 lata przeżyte z K.I.G. Najpierw po śmierci Kota nie umiała się podnieść z tragedii, która na nią spadła. Tamta trauma towarzyszyła jej - na dobrą sprawę - do śmierci. Nigdy już nie umiała się ani tak śmiać, ani cieszyć, ani zachwycać codziennością, jak to bywało wcześniej. Choć przecież czas i w tym wypadku zrobił swoje - złagodził ból, ale nie osłabił poczucia samotności. A później, dzięki silnemu charakterowi, hartowi, jakiejś niebywalej determinacji, starała się żyć z pożytkiem dla innych, dla dzieła K.I.G., dla rodziny wreszcie. Jakiś cień wewnętrznej pogody odnalazła dzięki dalekomorskim podróżom - one w jakiś sposób godziły ją ze światem; poznawała go z nową ciekawością, z młodzieńczym niemal oczarowaniem; zawierała nowe znajomości, przyjaźnie. I te nieoczekiwane spotkania zawsze ją cieszyły, stanowiły namiastkę świata, który utraciła.



Natalia i Konstanty Gałczyńscy, fot. Wikimedia

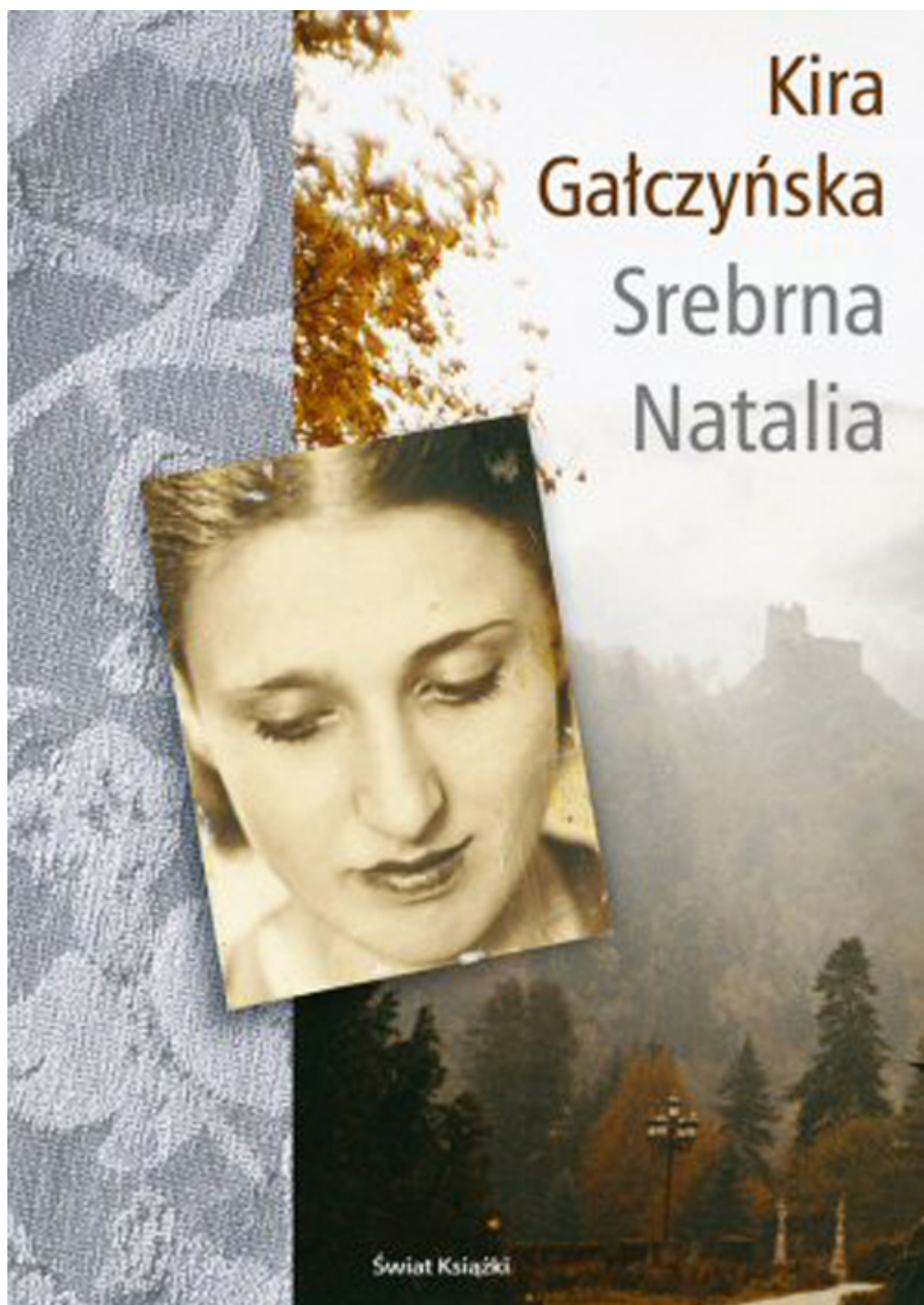
JSG: Jak to jest być dzieckiem sławnych rodziców? Czy to duża odpowiedzialność, misja do spełnienia?

KG: Moje dorosłe życie wypełnia cudowna pamięć o domu, o niezwykłych pod każdym względem rodzicach, ich przyjaciółach. Wyrosłam w takim domu, w szczęściu, pogodzie, trosce i miłości. Nie bywa to dziś dane każdemu. To mój największy skarb, z jakim weszłam w samodzielne życie. I to jednocześnie mój wielki dług, który staram się wobec moich najbliższych spłacać każdego zaczętego dnia. Stąd moje książki, moje próby opowieści o poecie, jego świecie, jego wierszach, w których zawsze najważniejszą była Natalia. To co robię, nie jest żadną misją. Jest moja codziennością. I jest mi z nią dobrze.

JSG: W opowieści o mamie, dyskretnie pojawia się i Pani. Z dużym uczuciem i podziwem, przy jednoczesnym zachowaniu faktów i wnikliwym ich omówieniu, pisze Pani o Natalii Gałczyńskiej. Czy będzie też książka o Pani, o Pani niezwykłym życiu, leśniczówce Pranie, wielu ciekawych osobach, które Pani napotkała w życiu?

KG: A więc pyta Pani, czy napiszę wspomnienia? Może. Choć mam świadomość, że

do nich także trzeba dojrzeć, a ja mam coraz mniej czasu. Ale może, kto wie? Kiedy już za bardzo dokuczy mi rzeczywistość, jedynym ratunkiem stanie się jeszcze jedna podróż w przeszłość. Do nieistniejącego świata pogody, przyjaźni, wierności i okazywanej każdego dnia miłości. Do świata zatrzymanego w wierszach K.I.G.



Wydawnictwo Świat Książki, 2006.



Wydawnictwo Marginesy, 2014.

Ta książka jest dalszym ciągiem naszych wielu rozmów, naszych wspólnych podróży, zaczętych lektur i niedosłuchanych koncertów. (...) Jest także moją próbą opowiedzenia o niej, o jej dniu codziennym, wesołym i smutnym, o (przyjaciołach). O nastrojach, kapryсах i fascynacjach. O uśmiechach i łzach. O wielkiej sztuce przebaczenia, miłości i wiary: jest jeszcze jedną próbą dotarcia do jej sekretów, a

może i tajemnic.

Kira Gałczyńska

Kira Gałczyńska, Srebrna Natalia, Świat Książki 2006 oraz wznowienie wyd. Marginesy 2014.

Filozof bytu

Z Wilkiem Markiewiczem - malarzem i pisarzem, założycielem i twórcą „Kurieru Polsko-Kanadyjskiego” w Toronto - rozmawia Joanna Sokołowska-Gwizdka.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

I nigdy nie doznając

Istotnego znaczenia

Zaczynasz je istnieniem

Kończysz rachunkiem sumienia

(W. Markiewicz, Okruchy bytu, z rozdziału „Życie”)

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od lat pisze Pan aforyzmy, które ukazują się w redagowanym przez Pana portalu internetowym „Vagabond Pages”. Te układające się w ciągi znaczeń myśli, stwarzają obraz rzeczywistości widzianej Pana oczami. Dlaczego według Pana zagadnienia bytu, miejsca człowieka na ziemi, relacji Ja - świat zewnętrzny są z reguły pesymistyczne?

Walka o przetrwanie kończy się klęską, a promienie życia są jedynie przerwami w podróży przez piekło?

Wilek Markiewicz: Mój pesymizm wynika z tego, że całe moje życie było borykaniem się. Tak mnie cholera na cały świat brała, że się wyżyłem, pisząc to, co napisałem. To było oczyszczenie myśli i ducha. Mam nadzieję, że moje myśli się komuś na coś przydadzą, że to nie było tylko puste pisanie.

Ktoś mi kiedyś pokazał pewnego domorosłego poetę. Był chyba Bułgarem, nie znałem go osobiście. Mieszkał gdzieś w suterenie, młody człowiek, ale kaleka. Był on ponoć zgorzkniały i złośliwy. Pisał wiersze, które mi się bardzo podobały. Kiedyś napisał: *jak to jest, że moje serce jeszcze śpiewa?*. Ja sobie wtedy pomyślałem - to jest młodość. Gdy się ma 20 lat to serce śpiewa, nawet w więzieniu. Więc kiedy serce przestaje śpiewać? Gdy zaczyna czuć dzień podsumowania, gdy zaczyna być wiecznie niezadowolone, bo to się nie udało, bo tamto się nie udało. Ja mocno przeżywam niepowodzenia, zresztą wszystko mocno przeżywam. Czasami straszę siebie, co by było gdybym był kimś innym. Może bym został zakonikiem, popełnił samobójstwo albo bym na wszystko splunął, nie wiem. Ale to nie jest moją naturą. Moją naturą jest działać, moja natura jest wrażliwa na piękno, czy to będzie literatura, sztuka czy muzyka wszystko jedno, ja tym żyję, ja się tym napawam. Tak więc jestem pesymistą, ale jednocześnie jest we mnie pragnienie życia i działania.

JSG: Oprócz publikacji Pana nowel i artykułów w prasie polskiej, hiszpańskiej i francuskiej, prowadzi Pan angielskojęzyczny portal internetowy „Vagabond Pages”, gdzie można zapoznać się zarówno z Pana twórczością literacką, malarską, jak też pracą dziennikarską.

WM: Stronę odwiedza ponad 150 osób dziennie z całego świata. Moje aforyzmy tam umieszczone ukazują się z podaniem źródła na różnojęzycznych stronach internetowych. Fragment mojego artykułu „Dezinformacja jako zbrodnia wojenna” został włączony do książki Gregory James’a „Many a Slip?”, (Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology 2001). To są takie przyjemne drobnostki. Ale ja zawsze szukałem ciągłości. Dlatego fascynowało mnie wydawanie gazety i stałe komunikowanie się z czytelnikami. Ja nie chcę być takim samotnym strzelcem, choć jak dotąd nim jestem. Taki los.

JSG: W zbiorze „Okruchy bytu” bardzo podobają mi się aforyzmy z rozdziału „Twórczość”. Oddają one sens tworzenia, są głębokie i proste jednocześnie. Oprócz pisania ciągle Pan dużo maluje. Czyli Pan się czuje bardziej pisarzem czy bardziej malarzem?

WM: Mimo, że malowałem niemal od zawsze, oba nurty idą we mnie równolegle. Napisałem kiedyś o sobie: *Kiedy piszę, jestem malarzem, kiedy maluję, jestem muzykiem*. I ja to tak czuję, choć czasem trudno mi to przekazać.

JSG: Czyli nie ważna jest forma, ale istotny jest przekaz wewnętrzny, impuls.

WM: Ważne jest znalezienie tego „czegoś”, co skoncentruje moją uwagę. Ważne jest, żeby forma, kształt czy postać na obrazie mnie się podobała. Czasami poszukuję właściwego odbicia, tego, co jest we mnie. Ale najważniejsze, żeby mnie coś poruszyło, jak prądem. Przychodzi czasami coś, czego nie oczekuję, a to nagle zagra. Wtedy, kiedy maluję, to jakbym pieścił, jakby elektryczny prąd przechodził przeze mnie. „Ona” powstaje na nowo pod moją ręką, jakbym był Bogiem. Oby się to nigdy nie skończyło. To takie fizyczne doświadczenie.

Tak samo jest, gdy myślę, gdy piszę. Czuję wtedy, jakby coś we mnie się stwarzało, coś rosło materialnego, choć tam nie ma materii, tam są tylko słowa. Ale one tak się rozrastają, że tworzą coraz większą strukturę, jak katedra. Tylko na taki stan nigdy nie można liczyć, że będzie na pewno.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Czy dla Pana twórczość jest ciągłym poszukiwaniem i odkrywaniem tych nie zbudowanych katedr?

WM: Twórczość dla mnie jest działaniem, działaniem i jeszcze raz działaniem. Te tworzące się struktury, są jakby poza mną i moją wolą. Ale teraz zaczynam być w kryzysie, zaczyna mi brakować motywacji. Motywacja też nie była nigdy zależna ode mnie. To było coś, co musiało na mnie spłynąć. Tylko to jest niebezpieczne, bo spłynie, albo nie. Nigdy nie wiadomo.

JSG: A co Pan teraz maluje?

WM: Teraz powstają nowe rysunki, które lubię. W malowaniu trochę przystanęłam. Toronto przestało mnie inspirować. „Wykorzystałem” już wszystko, co mogłem. Namalowałem nawet wyimaginowane ulice z prawdziwymi domami. Więc nie chcę się powtarzać. I czuję, że jestem zmęczony. Trzeba zrobić przerwę i zacząć wszystko od początku. Zaczyna być mi ciężko, bo wydaje mi się, że poznałem już kawał świata i nic już mnie nie zaskoczy. Ktoś kiedyś powiedział – po co komu wyścigi, skoro i tak wiem, że jeden wygra, a drugi przegra. Tak więc pójdę jeszcze na jedną ulicę, zobaczę jeszcze jedną budowlę. I co z tego? Zauważyłem nawet, że mogę pracować bez natchnienia. Ale po co? Na tyle godzin siedzenia, mieć potem zaledwie 5 minut

przyjemności. Wiem, że jestem zmęczony, że potrzebuję wakacji, ale też boję się tych wakacji, bo jak długo można siedzieć pod palmą wśród wydm?

JSG: A czy wystawy, nagrody, uznanie ludzi nie dają energii do dalszego tworzenia?

WM: Przychodzą nagrody. No i bardzo dobrze, ale co dalej? Będzie druga nagroda, trzecia i co z tego? Będzie wernisaż, dwa razy na rok, przyjdą ludzie, będą jeść, pić, potem wyjdą. Nie czuję się dobrze w tym wirze wielkoświatowym, systemie zdobywania i nagradzania. Nie wszedłem w ten nurt, za długo byłem samotnikiem. Ale z drugiej strony nie jestem pustelnikiem. To taka sprzeczność. Jak powiedziała jedna moja przyjaciółka - *Ty jesteś mistykiem i materialistą i oba wcielenia są w złych miejscach.*

JSG: Pana sztuka ma głębokie podłoże filozoficzne. Wszystko obraca się wokół istoty istnienia, bytu, życia, śmierci sensu tej naszej kosmicznej podróży.

WM: Intryguje mnie zagadka samej egzystencji. Idąc w głąb materii, odkrywamy coraz to nowe prawa rządzące komórkami, atomami. Nazywamy kolejny kształt, kolejną mikroskopijną cząstkę i dochodzimy do fali. Ale fali czego? Nie wiadomo. Dochodzimy do końca i dalej nie wiadomo. Trzeba wszystko zaczynać od początku. Bo jak może być fala bez materii. Taki to jest cykl.

Człowiek ciągle za czymś goni, ciągle gdzieś biegnie. Tylko po co? Tak jak w tej rozmowie na wsi dziadka z wnuczkiem - *musimy „egzystencjalizować”, więc „egzystencjalizujemy”*. Trzeba się w pewnym momencie zatrzymać, bo zaczynamy biegać w kółko. - *Idziemy tak daleko w mądrości, że niedługo złapiemy głupotę za ogon* - jak wyczytałem w graffiti w Genewie.

JSG: Czy Pana wykształcenie, ukończone studia z nauk biologicznych w Genewie, praca w Instytucie zootechniki pod Paryżem, praca w szpitalu itd., zbliżyły Pana do życia, do natury, do przyrody? Czy stąd to Pana filozoficzne podejście do świata?

WM: Zawsze pociągała mnie biologia. Kocham przyrodę, naturę i ciekawi mnie

porządek świata. Tylko nie miałem temperamentu naukowca, raczej filozofa. Powiedziano mi na uczelni, że mógłbym być chirurgiem. Ale operacje, to nie dla mnie. Więc zarzuciłem nauki biologiczne. Uniezależniłem się. Czułem się takim wolnym duchem. Pracowałem gdzieś u chłopa w Hiszpanii. Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że czas leci. Jak sobie zdałem z tego sprawę, zacząłem żałować minionego czasu. Stąd ten mój pesymizm. Może to starość.

JSG: Podobno starzeje się mózg, a nie duch. A mózg można ćwiczyć.

WM: Mózg nie jest narzędziem, tylko odbiorcą, przekaźnikiem, jak stacja kolejowa. Wszystko co się w nas dzieje jest fizyczne, a nie emocjonalne. Inteligencja nie jest twórcza, inteligencja jest rekapitulacją. Twórczość jest wtedy emocjonalna, gdy przeżycie jest fizyczne.

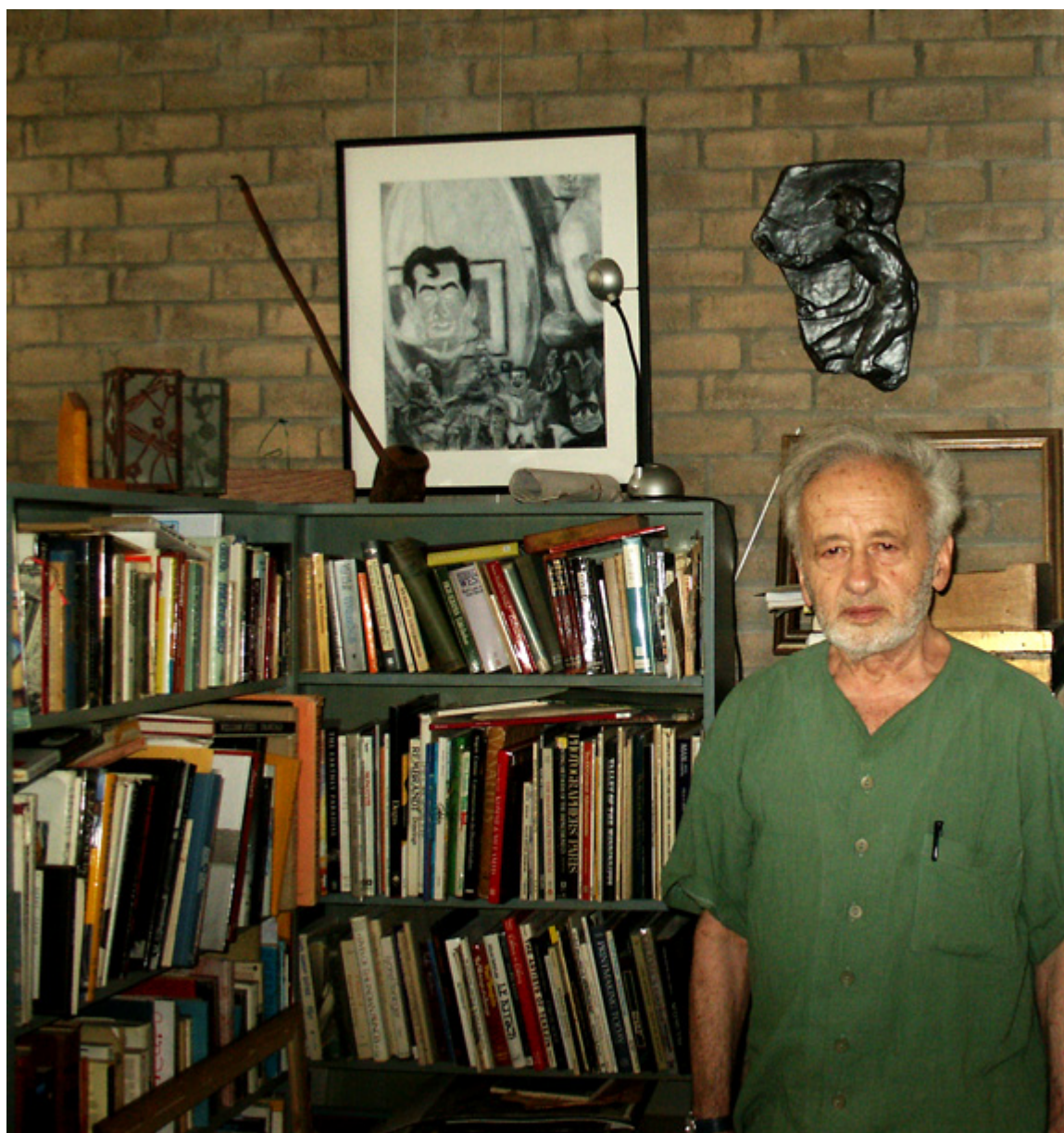
JSG: W technikach wschodu, mówi się, że wszystko co się w nas dzieje, zależy od nas samych. Sami musimy znaleźć w sobie swój potencjał.

WM - Zachodnia koncepcja mówi - po 40. my się powtarzamy, a wschodnia - po 70. zaczynamy się uczyć. Ja się zgadzam z zachodnią, z tą różnicą, że są różne formy starzenia się. Nie każdy człowiek starzeje się tak samo, niektórzy nie chcą się zestarzeć i nie chcą umrzeć, inni to akceptują. To jest fascynujący temat. Testuję go na samym sobie. Czy jeszcze mam tę pamięć, czy mam tę siłę, czy jeszcze potrafię? A jak nie, to chyba nie warto żyć.

JSG: Pan tak dryfuje po życiu, jak żeglarz szukający swojej wyspy. Urodził się Pan i mieszkał w Krakowie, ale potem wyjechał Pan do Paryża. Z Paryża skierował Pan swoje loty na studia do Genewy, potem znów znalazł się Pan w Hiszpanii. Żyjąc takim „bohemian life”, jak to się stało, że znalazł się Pan w Toronto?

WM: Powód był bardzo zwyczajny - pamiętałem „Kanadę pachnącą żywicą” Arkadego Fiedlera. Ale wpadłem w sidła. Kiedy przyjechałem do Toronto zastanawiałem się, czy aby Fiedler się nie pomylił? To nie może być Kanada. Przybyłem w gorącym sierpniu, nie spodziewałem się takiego upału. Straszne ulice z drewnianymi słupami, jak z dzikiego zachodu. Wszedłem kiedyś do zakładu fotograficznego, potrzebowalem zrobić zdjęcie dla jakiegoś dokumentu, i widzę na

ścianie fotografię panny młodej w ślubnej sukni, a tuż obok niej zawieszony portret wielkiego buldoga tej samej wielkości, co portret dziewczyny. Pomyślałem sobie: *W Europie nie byłoby miejsca na takie „faux pas”*. Pytam więc dziewczynę obsługującą w zakładzie: *Przepraszam, czy to jej narzeczony?* A ona krzyknęła: *Ach!* i przestała na mnie patrzeć. No, myślę, skoro jeszcze nie straciłem poczucia humoru, to znaczy, że żyję.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak Pan wspomina początki pobytu w Toronto?

WM: Zacząłem od pracy w szpitalu Saint Joseph. Pracowałem tam parę miesięcy.

Napisałem potem kilka historii w Vagabond. Święty Augustyn nauczał, żeby dawać pić niemowlętom. Bo on pamiętał prawdziwe pragnienie. Wiele dzieci umierało wtedy z pragnienia. Ja dodałem komentarz: *Do ostatniej chwili dajcie pić umierającym*. To jest z mojego własnego doświadczenia.

JSG: Ale dość szybko zaczął Pan współpracować z polską prasą.

WM: Pamiętam, przyszedłem do „Związkowca” do Bumka Heidenkorna i mówię – słyszałem, że jest tu polska prasa. Tu nie ma polskiej prasy – odpowiedział. – Jak będzie Pan miał pieniądze, to sobie Pan sam założy prasę. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że bez pieniędzy to potem zrobię. Jakiś czas współpracowałem z „Głosem polskim”. Założyłem też kolumnę etniczną w „Toronto Sun”.

JSG: Czy prosto było założyć kolumnę etniczną w kanadyjskiej prasie?

WM: Właśnie powstawała gazeta „Toronto Sun”. Więc się zgłosiłem i zaproponowałem prowadzenie kolumny etnicznej. Powiedziałem, że czytam wszystkie języki słowiańskie, wszystkie języki romańskie, znam dość dobrze niemiecki, skandynawski rozumiem, a z Koreańczykami mogę rozmawiać telefonicznie. Mój pomysł im się spodobał i mnie przyjęli.

JSG: Na czym polegała Pana praca?

WM: Redaktorzy różnych pism etnicznych przysyłali mi swoje gazety, a ja wybierałem najciekawsze artykuły. Była też prasa polska, ale starałem się jej nie faworyzować. Kolumna ta widać miała powodzenie, bo długo się utrzymała. Była to bardzo wyczerpująca praca, ale dała mi dużo satysfakcji. Przerwałem, gdy miałem już tego dość.

JSG: A jaką gazetą był założony przez Pana w 1972 roku „Kurier Polsko-Kanadyjski”?

WM: „Kurier Polsko-Kanadyjski” działał na podobnej zasadzie, co kolumna etniczna w „Toronto Sun” – trochę tego, trochę tamtego. Dostawałem gazety polonijne z całego świata. Oprócz własnych artykułów i rysunków, zamieszałem artykuły z prasy polonijnej. Wycinałem różne informacje i ciekawostki, naklejałem i drukowałem. Własny materiał drukowałem stosunkowo nowo powstałym offsetem. Ponieważ mam

zmysł kompozycji, pomimo, że kolumny były różnego formatu, udało mi się tak strony skomponować, żeby trzymały się tekstu, były ułożone tematycznie i wyglądały efektownie.



„Kurier Polsko-Kanadyjski” – gazeta założona przez Wilka Markiewicza, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Jak doszło do tego, że w Toronto powstała pierwsza prywatna polska gazeta? Proszę opowiedzieć trochę szczegółów?

WM: Zaraz po przyjeździe do Toronto, pracowałem przez pewien czas jako pomocnik pielęgniarzki (*orderly*) w szpitalu św. Józefa. Jednym z pacjentów na moim piętrze był wówczas polski ksiądz, zdaje się, że był to ks. Kowalski. Kolega – Polak, który pracował ze mną, powiedział mi, że ksiądz ten jest wysoką figurą w hierarchii kościelnej. Rozmawiałem z nim na różne tematy, przy jakiejś okazji zacytowałem mu swoją aktualną fraszkę: *Co to będzie z tego Gierka? Czy to ogier, czy to gierka?* Spodobało mu się, przyjemnie było rozweselić kogoś w szpitalu i pomyślałem sobie: *Jaka szkoda że nie mam kontaktu z polską prasą, której bym mógł tę fraszkę zaproponować.* Już wówczas nosiłem się z myślą założenia polskiej gazety, lecz w tym okresie współpracowałem z gazetami hiszpańskimi, między innymi z „Correo

Hispano-Americano”, który mnie zainspirował do nazwy „Kurier Polsko - Kanadyjski” i z gazetą w języku francuskim „Courrier Sud”. Zanim założyłem „Kuriera”, ktoś mi doradził, może sam ks. Kowalski (?), żebym się skomunikował z jednym księdzem w polskim kościele na Dovercourt. Poszedłem tam i napotkałem młodego polskiego księdza, innego, niż ten, którego szukałem. Gdy mu powiedziałem, że mam zamiar wydać polską gazetę, dosłownie światło ukazało się w jego oczach i rzekł: *Czy wie pan że ma pan piękną ideę?* - powiedział. Widziałem go tylko raz i przelotnie, nie wiem jak się nazywał i gdzie obecnie przebywa. O ile jest w Toronto i przypadkowo przeczyta te słowa, niech wie, że nigdy go nie zapomniałem, te słowa i to światło w oczach zawsze mi dodawało otuchy w ciężkich chwilach. Gdy „Kurier” był już na półkach sklepowych, doszli inni przyjaciele. Może pierwszym z kolei był mec. Aleksandrowicz, którego poznałem niestety tylko przez telefon. Wyraził się z wielkim uznaniem o „Kurierze”, z głosu odniosłem wrażenie, że to bardzo dystyngowany pan. Nie zdążyliśmy się zapoznać, gdyż niedługo później zmarł. Poznałem p. Olbrychskiego, stryja aktora Daniela Olbrychskiego, który się bardzo zbliżył z „Kurierem”. Ostatni kontakt miałem z nim listowny i tragiczny; zawiadomił mnie o lekarskim werdykcie co do swego beznadziejnego stanu. Życzył mi, by „Kurier” rósł, gdy jego już nie będzie. Pamiętam też przelotne spotkanie, w polonijnym klubie na Beverley, z księdzem, który przyjechał z Polski z wizytą. Z honorów jakie mu czynili kombatanci wywnioskowałem, że to ważna figura. Zatelefonował mi w następnych dniach z podzięką „za ucztę duchową” , jaką mu sprawił „Kurier”. Dowiedziałem się też z miarodajnych źródeł, że ks. Tischner znał „Kuriera” i zwrócił uwagę między innymi na moje aforyzmy. Oczywiście, że poczułem się uhonorowany i wzruszony, bo wiedziałem o jego złym stanie zdrowia. Dalsze aforyzmy zamieszczałem z myślą o nim, z nadzieją, że znów do niego dotrą. Wszyscy życzliwi ludzie, i ci których wymieniam i ci, których nie wymieniam, ale pamiętam ich szczerozłote serce, dodali mi moralnej otuchy i w wielkiej mierze dzięki nim „Kurier” trwał.



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

JSG: Otaczał się Pan interesującymi, nietuzinkowymi ludźmi.

WM: Różni ciekawi ludzie przewijali się przez redakcję. Czy zna pani Edwarda Dragana? On pracował w Toronto jako szofer ciężarówki. Kawał chłopca. A do „Kuriera” pisał poezje. *Chodził on sobie wciąż po ulicach,/ mówił do siebie niesamowicie/ i modlił się po wszystkich kaplicach,/ takim dla niego było życie.* Tak pisał Edward Dragan. Snobistyczna Polonia go zlekceważyła. Dlatego broniłem tych, którzy pisali z potrzeby serca. Bo tylko elitarne społeczeństwo, może sobie pozwolić na elitarnie pismo.

JSG: Do dziś w wielu sercach istnieje Pan jako twórca „Kuriera”. Jeśli dotrze się chociaż do jednej osoby, która coś przeżyje dzięki nam, to znaczy, że było warto pracować, nawet bardzo ciężko.

*Rozmowa została przeprowadzona w Toronto w 2004 r., a uzupełniona w 2010 r.
Wiliam Markiewicz zmarł w listopadzie 2014 roku w Toronto.*



Wilek Markiewicz w swoim domu w Toronto, fot. J. Sokołowska-Gwizdka.

Wiliam Markiewicz, urodzony w Krakowie, ukończył nauki biologiczne na Uniwersytecie w Genewie. Mieszkał w Paryżu i Hiszpanii, a od 1970 roku w Toronto. Redaktor kolumny etnicznej w „Toronto Sun” 1971 - 85. Wydawca i redaktor „Kuriera Polsko -Kanadyjskiego 1972 -86 - pierwszej prywatnej gazety polonijnej na kontynencie amerykańskim. Współpracownik Canadian Political News & Life 1988 - 89. Dziennikarz francuskiego pisma „Voir” w Szwajcarii, oraz „Courier Sud” (Toronto), „Correo Hispano - Americano (Toronto), „Latino” (Toronto), współpracownik „Głosu Polskiego” i „Związkowca” (Toronto). Wysłannik Kanadyjskiej Federacji Prasy Etnicznej na konferencji NATO w Brukseli (1977). Autor noweli „Kanibale duszy”, która ukazała się w wydawnictwie „Historias para no

dormir” (Madryt) oraz w pismach ukazujących się w językach: hiszpańskim, francuskim i polskim w Toronto. Autor opowiadania „Ośmiornica”, które ukazało się w „Fantastyce” (Warszawa) oraz po hiszpańsku i po francusku w pismach w Toronto, a także po angielsku w prowadzonym przez siebie piśmie internetowym – „Vagabond Pages”.

Jako artysta malarz prezentował swoje prace na wystawach zbiorowych i indywidualnych m.in. w Toronto (w Galerii Laurier na Dundas West, między Islington a Kipling) oraz we Francji, Kanadzie, USA, Wielkiej Brytanii, Włoszech.

Nagrody:

- Nagroda Kanadyjskiego Klubu Dziennikarzy Etnicznych.
- I nagroda i medal miasta Antibes na Międzynarodowej Wystawie Malarskiej na Lazurowym Wybrzeżu.
- Honorowe wyróżnienie na międzynarodowej wystawie malarskiej w Varese (Włochy).
- Honorowe wyróżnienie na wystawie miniatur w Toronto.
- The 2001 Miniature Book Society Distinguished Book Award, USA (za reportaż „Powrót do Paryża”, wydany przez Pequeno Press w USA).

Członek:

The Philadelphia Print Club,
Toronto Press Club,
Alianza Cultural Hispano - Canadiense.

Jego artykuły „Pity and Horror” (Litość i zgroza) oraz „Abortion and Biology” (Aborcja i biologia) ukazały się w pismach dla pielęgniarzy i medyków w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. „Disinformation as a War Crime” (Dezinformacja jako zbrodnia wojenna) znalazła swoje miejsce na str. 64 - 65 w glosariuszu kontrowersji „Many a Slip...” wydanego przez prof. Gregory James’a z Language Centre, Hong Kong University of Science and Technology. „Return to Paris” (Powrót do Paryża), w formie miniatury artystyczno-literackiej o ograniczonym nakładzie, wydana przez Pequeno Press w Bisbee, AZ.

Zbiór aforyzmów Wiliama Markiewicza „Extracts of Existence” został wydany przez

High Park Pages w Toronto. Książkę ilustrował sam autor. Niektóre rozdziały przetłumaczone na język polski ukazywały się w „Nowym Kurierze” w Toronto. W 2004 roku zbiór ten ukazał się w formie książkowej p.t. „Okruchy bytu” wydany przez wydawnictwo „Silcan House”. Książka jest również ilustrowana przez autora. Na okładce znajdują się reprodukcje drzeworytów „Maska” i „Ewa”. Projekt okładki i stron tytułowych - Zbigniew Stachniak.

Aspirując do miana artysty

Ze zwycięzcą Międzynarodowego Mistrzowskiego Konkursu Pianistycznego im. Artura Rubinsteina w Tel Awiwie, Szymonem Nehringiem, rozmawia Bożena U. Zaremba.



Szymon Nehring, fot. Wojciech Grzędziński.

Bożena U. Zaremba: Zwycięstwo w Tel Awiwie to dotychczas Pana największy sukces. Czy może Pan przybliżyć nam ten konkurs?

Szymon Nehring: Jest to bardzo trudny, pięcioletni konkurs, trwający trzy tygodnie. Myślę, że pod względem kondycyjnym jest trudniejszy niż Konkurs Chopinowski. Wymaga doświadczenia koncertowego, co w młodym wieku jest oczywiście trudne. Na przykład zagranie samego finału, który składa się z trzech etapów, każdy z zupełnie innym repertuarem: gra się dwa koncerty fortepianowe – jeden klasyczny, jeden romantyczny. To było zresztą wspaniałe przeżycie – I Koncert Beethovena grałem z orkiestrą Camerata Israel, a III Koncert Rachmaninowa z Israel Philharmonic Orchestra. Jest to fenomenalny zespół, jeden z najlepszych orkiestr na świecie. No a wcześniej są oczywiście recitale solowe, każdy po godzinie. Kondycyjnie to wszystko jest bardzo wyczerpujące i największym wyzwaniem jest to, jak każdy sobie poradzi z własną wytrzymałością podczas trwania całego konkursu.

BUZ: Jest Pan także laureatem nagród na Konkursie Chopinowskim, między innymi zdobył Pan nagrodę publiczności. Pokrywa się to z komentarzami jakie można przeczytać na YouTube pod Pańskim wykonaniem Koncertu fortepianowego e-moll podczas finałowego etapu konkursu - wiele osób było zaskoczonych, że to nie Pan wygrał. Mówili o tym, że zwycięzca grał bezbłędnie, ale Pan grał przepięknie...

SzN: Faktycznie etap finałowy był moim najlepszym, ale wiadomo, że publiczność słucha wybiórczo. Trudno przesłuchać wszystkich kandydatów od początku do końca, tak jak to robi jury. Pianista, który wygrał, Seong-Jin Cho, nie jest bynajmniej maszynką do grania, co się często zdarza, a w przypadku Azjatów, to już taki stereotyp. Seong-Jin Cho jest prawdziwym artystą i ja nie postawiłbym siebie wyżej od niego w klasyfikacji konkursowej. Ale muszę stwierdzić, że podczas przygotowań i w czasie samego konkursu bardzo dużo się nauczyłem i w Tel Awiwie grałem już na zupełnie innym poziomie.

BUZ: Kiedy pianista może nazwać siebie artystą?

SzN: Nie czuję się upoważnionym do wydawania takiej oceny, ale wydaje mi się, że celem artysty jest dotarcie do słuchaczy w sensie emocjonalnym. Jeżeli pianista

potrafi przez tekst kompozytora, jednocześnie nie nadużywając tekstu muzycznego, przekazać swoją duchowość i pobudzić duchowość odbiorcy, to myślę, że ten cel osiąga.

BUZ: Kontynuując temat Pańskich sukcesów - po wygraniu konkursu im. Rubinsteina, zagrał Pan w Carnegie Hall w Nowym Jorku i będzie Pan miał okazję wystąpić tam jeszcze raz podczas koncertu z okazji 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości.

SzN: Tak, i oczywiście bardzo się cieszę, także dlatego, że to będzie niesamowita okazja popularyzacji polskiej muzyki. To taki znamienny rok i będę się starał grać dużo muzyki polskiej. A zagrać w Carnegie Hall z takiej okazji to szczególne wyróżnienie.

BUZ: W ogóle ostatnio bywa Pan często w Stanach Zjednoczonych z racji studiów w Yale School of Music.

SzN: Tak, robię tzw. Artist Diploma, co jest na poziomie studiów magisterskich. Są to specjalne studia dla muzyków, którzy dużo koncertują. Zajęcia są tak ustawione, że ma się dużo swobody i można w tym czasie jeździć po świecie i koncertować.



Szymon Nehring, fot. Wojciech Grzędziński.

BUZ: Porozmawiajmy trochę o Pańskiej edukacji muzycznej. Nauczyciele spełniają różne role - uczą rzemiosła, są wychowawcami, mentorami. Na jakich nauczycieli Pan trafił?

SzN: Moją pierwszą nauczycielką, przez 11 lat, była prof. Olga Łazarska, potem pracowałem z prof. Stefanem Wojtasem. Oboje nauczyli mnie dyscypliny, co przyznam, zajęło mi sporo czasu, a dyscyplina jest bardzo ważna dla człowieka, który ma występować regularnie. Mówimy nie tylko o dyscyplinie ćwiczenia, ale także o dyscyplinie życia w ogóle. Pani Łazarska odegrała bardzo istotną rolę, bo oprócz nauki rzemiosła wyrobiła we mnie wrażliwość muzyczną. Mogę powiedzieć, że otrzymałem wszechstronne wykształcenie i większość czego umiem właśnie jej zawdzięczam. Profesor Wojtas nauczył mnie natomiast podejścia do tekstu i do roli pianisty, który ma być wykonawcą i jego indywidualność nigdy nie może być istotniejsza od tekstu kompozytora.

BUZ: A jakie ma Pan oczekiwania, jeżeli chodzi o Yale? Czego jeszcze chciałby Pan się nauczyć?

SzN: O, bardzo dużo [śmiech]. Muzyka to jest taki proces jak samo życie – nauka nigdy się nie kończy, a im więcej się odkrywa, tym bardziej się widzi, czego się nie umie i co można jeszcze rozwinąć. Mogę wymienić moje dwa główne cele na ten czas. Na pewno jest to rozszerzenie mojego repertuaru. Chciałbym się skupić na repertuarze rosyjskim, jako że studiuję z prof. Borisem Bermanem, który [jest Rosjaninem i] świetnie się zna na tej muzyce. Chciałbym też sięgnąć po repertuar, którego jeszcze nie grałem, np. impresjonizm. To jest okres muzyczny, któremu się jeszcze dokładnie nie przyglądałem, bo zajmowałem się nieco innymi działami muzyki. Poza tym, chciałbym się nauczyć większej otwartości, jeżeli chodzi o granie przed publicznością.

BUZ: **Wielu znakomitych pedagogów muzycznych podkreśla, że pianista powinien mieć nie tylko wielostronne wykształcenie muzyczne, ale też tzw. doświadczenie życiowe, zainteresowania pozamuzyczne, powinien rozwijać wrażliwość nie tylko na muzykę, ale także na otaczający świat. Jak Pan wypełnia świat pozamuzyczny?**

SzN: Głównie czytaniem książek. Doświadczyłem niedawno takich dwóch lat, kiedy nie bardzo potrafiłem sobie zorganizować czas na robienie czegoś innego poza graniem przez dziewięć godzin dziennie. I doszedłem do wniosku, że tak nie można. Człowiek nie ma wtedy nic do powiedzenia, staje się rzemieślnikiem, a nie aspiruje do miana artysty. A co robię w tym kierunku? Na pewno bardzo sprzyja temu pobyt w Nowym Jorku. Staram się tam jeździć mniej więcej dwa razy w miesiącu. Niedawno byłem przez dwa tygodnie i odwiedziłem [Muzeum Sztuki Nowoczesnej] MoMA, Metropolitan Museum of Art, byłem na koncercie w Carnegie Hall i na „Weselu Figara” w Metropolitan Opera. To są niesamowite przeżycia. Wydaje mi się, że Nowy Jork jest światową stolicą kultury. To na pewno bardzo mnie rozwija. Poza tym staram się czytać jak najwięcej, a ponieważ dużo podróżuję więc czas mam. Książki mnie inspirują i odświeżają mój umysł.

BUZ: **Co Pan ciekawego czytał w ostatnim czasie?**

SzN: Kończę właśnie książkę o buddyjskiej medytacji. W ogóle dużo spędzam czasu na medytacji, bo wydaje mi się, że daje to odświeżenie strony duchowej. Zafascynowała mnie też klasyka literatury. Przeczytałem dopiero co „Portret Doriana

Graya" [Oskara Wilde'a], skończyłem też „Braci Karamazow” [Fiodora Dostojewskiego]. W ogóle uwielbiam Dostojewskiego. Przeczytałem oczywiście lekturę szkolną „Zbrodnię i karę”, ale niedawno sięgnąłem też po „Idiotę”. Rosyjska literatura bardzo mnie pociąga. Przeczytałem też ostatnio „Martwe dusze” [Mikołaja Gogola], które bardzo mnie poruszyły. Teraz kupiłem sobie „Fausta” Goethego i „Sonety” Szekspira.

BUZ: Do tradycji wywiadów Chopin Society of Atlanta należy pytanie artystów o Chopina. Co Pana najbardziej fascynuje w jego muzyce ?

SzN: Najbardziej mnie wzrusza i najbardziej sobie cenię to, że Chopin najwyraźniej ze wszystkich kompozytorów zbliżył fortepian do głosu ludzkiego. To jest właśnie ten wokalny charakter i deklamacyjność, a także naturalny styl każdej frazy, która u Chopina jest szczerą i przemawia głęboko do serca. Poza tym świeżość, co sprawia, że granie tej muzyki jest dużym wyzwaniem, bo łatwo dojść do momentu, kiedy przychodzi nieszczerłość. Nie jest wcale tak, że ćwicząc więcej zagra się tę muzykę lepiej. Żeby mieć coś od siebie do powiedzenia trzeba wiedzieć, kiedy się zatrzymać. Zdarza się to w każdej muzyce, ale u Chopina jest to najtrudniejsze.

BUZ: Jak wyczuć ten moment?

SzN: To przychodzi wraz z doświadczeniem. Podczas Konkursu Chopinowskiego, pamiętam, że nie potrafiłem jeszcze nad tym zapanować. Szczególnie w przypadku Chopina też jest istotne, żeby posiadać dużo wiedzy na jego temat i na temat jego muzyki. Czasem lepiej jest popracować przy stole studiując nuty niż przy fortepianie, albo nawet bez nut, medytując nad tą muzyką, a nie grając ją. Trzeba przemyśleć formę i charakter utworu, a nie ćwiczyć mechanicznie.

BUZ: Czy dużo słucha Pan innych wykonawców?

SzN: Właściwie nie tak dużo, a jeżeli już to pianistów takich jak Hofmann czy Friedman - artystów ze starszej epoki. Nie grają perfekcyjnie, czego dzisiaj się wymaga od pianistów, ale w ich interpretacji jest dużo treści. Jest to dla mnie bardzo inspirujące i powoduje, że mam chęć pracować nad danym utworem.



Szymon Nehring podczas koncertu z orkiestrą, fot. Wojciech Grzędziński.

BUZ: Podczas Konkursu Chopinowskiego powiedział Pan, że spotkania z innymi młodymi pianistami są bardziej inspirujące niż z doświadczonymi artystami.

SzN: To oczywiście była taka wypowiedź pod wpływem chwili. Nie znaczy jednak, że tak jest zawsze. Ale to, co wpływa na nić porozumienia z rówieśnikami, to podobne doświadczenia życiowe. I nie ma tego dystansu wiekowego, jaki naturalnie istnieje w przypadku spotkania ze starszymi artystami. Pamiętam, jak na Konkursie Chopinowskim, kiedy czekając na ostateczne wyniki, siedzieliśmy w dziesięć osób, finalistów, w jednym pokoju i razem graliśmy fragmenty różnych utworów, każdy inaczej. To było bardzo ciekawe - spotkanie osób o tak bardzo odmiennych zapatrywaniach na muzykę. Na pewno zapamiętam to wydarzenie na długo.

BUZ: Jak w takim razie krótko zdefiniowałby Pan swoje podejście do muzyki?

SzN: Gdybym miał to ująć w kilka zdań, to przy maksymalnym szacunku dla kompozytora, odnalezienie takiego języka, z którym pianista może się utożsamić w

danej muzyce i połączenie tych dwóch rzeczy w spójną interpretację. Niestawianie własnej indywidualności przed utwór, który się wykonuje, ale zawarcie tej indywidualności w tym utworze, w takiej formie w jakiej jest napisany. Na Konkursie Chopinowskim byli tacy pianiści, którzy przede wszystkim chcieli pokazać siebie, co przejawiało się jasno w ich sposobie grania. To się wielu ludziom podoba. Nie znaczy, że jest to złe, ale ja się z tym nie identyfikuję.

Szymona Nehringa można będzie usłyszeć 11 lutego, 2018 roku o godzinie 18:00 pm w Roswell Cultural Arts Center w Atlancie.

Wywiad został przeprowadzony dla Chopin Society of Atlanta. Więcej informacji: www.chopinatlanta.org

Angielska wersja wywiadu:

<http://www.chopinatlanta.org/interviews/SzymonNehring.html>

Portal artysty: www.szymonnehring.com

Słowa ze skradzionych chwil



Florian Śmieja z żoną Zofią, córką Anią i wnukiem w domu w Mississaudze w Kanadzie, fot. arch. Z. i F. Śmiejów.

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Był Pan przez wiele lat związany ze stolicą Wielkiej Brytanii i mocno osadzony w powojennym środowisku literackim tego miasta. Wielokrotnie pisał Pan o barwnej atmosferze artystycznej powojennego Londynu. Gdzie należałoby szukać przyczyny, tej ogromnej fali twórczości i wybitnych talentów w tym czasie?

Florian Śmieja:

Po zakończeniu działań wojennych, byli żołnierze mieli bardzo dużo zapału i energii, stąd ten dynamiczny rozwój idealizmu. Londyńska emigracja była pokaźna, ok. 100 tys. Polaków i wśród niej było bardzo wielu utalentowanych ludzi, wychowanych przez drugą Rzeczpospolitą, dla których często nie było powrotu do kraju. Co któryś młody człowiek w plecaku nosił pióro lub pędzel i jak nie pisał, to malował. Do Anglików trudno było przyłgnąć, bo Anglia była wówczas krajem zamkniętym, z własną tradycją, robiącym trudności w asymilacji. Stąd duża potrzeba życia we własnej społeczności, spotkania się, działania i to zwykle honorowo. Wychodziły

sukcesywnie czasopisma, przy niewielkich nakładach finansowych. Profesorowie wykładali za darmo i płacili za przejazd na wykłady z własnej kieszeni. Dlatego, mimo braku pieniędzy i możliwości zawodowych, ówczesna londyńska Polonia miała tyle osiągnięć. Ludzie pisali wspomnienia, pamiętniki, wiersze. Twórczość ich była terapią nie tylko dla piszących. Kultura dawała pewne możliwości upustu i stąd tyle najrozmaitszych dowodów aktywności intelektualnej, artystycznej, z której będziemy ciągle czerpać.

JSG: Takim przejawem aktywności kulturalnej z tamtego czasu, była grupa „Kontynenty”, której jest Pan jednym z założycieli i pierwszym redaktorem pisma.

FŚ: Po trzyletnich studiach w Irlandii w roku 1950 przyjechałem do Londynu do pracy u dr Jerzego Pietrkiewicza. Natychmiast też wszedłem w kontakt z absolwentami i studentami usiłującymi stworzyć pismo młodych, które zaczęło się od kolumny w tygodniku, a potem miesięczniku „Życie”. W 1951 roku zostałem redaktorem „Życia Akademickiego” (miesięcznego dodatku do tygodnika katolickiego „Życie”). Drukowaliśmy wtedy cztery strony, ale po jakimś czasie oddzieliliśmy się. Potem doszliśmy do wniosku, że dawanie komunikatów i pisanie o studentach nas nie zadawała. Wtedy „Życie Akademickie” przerodziło się w pismo „Merkuriusz Polski” i tam pojawiała się więcej ambitnych tekstów, felietonów, esejów, satyr. Po jakimś czasie doszło do scysji z wydawcą, władzami Zrzeszenia Absolwentów i Studentów, gdyż młodzi ludzie zaczęli zabierać głos w sprawach stanowiska politycznego wobec Polski. Mówiono, że młodzi się wyłamują, że chcą nawiązać kontakty z komunistyczną Polską, że nie stoją na straży wartości. Przyszedł taki moment, że materiały, które ukazywały się w „Merkuriuszu” po Październiku, nie spodobały się starszyźnie. Na walne zebranie przyjechał gen. Władysław Anders i podziękowano redakcji. Wtedy założyliśmy własne, od nikogo już nie zależne pismo „Kontynenty”. Od początku współpracowali z nami ludzie na całym świecie, w Stanach Zjednoczonych, w Kanadzie, w Australii, w Izraelu. Drukowaliśmy za minimalną cenę, nikt żadnych pieniędzy nie brał, wręcz przeciwnie, składaliśmy się po funcie na miesiąc, żeby zapłacić Bednarczykom za druk. I tak z biuletynu związkowego „Kontynenty” stały się z czasem pismem kulturalnym o ambicjach poetyckich. Współpracownicy zaczęli wydawać debiuty poetyckie i wyszły dwie antologie, jedna na Emigracji, a druga w Polsce. Aczkolwiek „Kontynenty” przestały

wychodzić w 1966 roku, przetrwała ich legenda i znalazła oddźwięk na polskich uniwersytetach.

Teraz o „Kontynentach” dużo się mówi w Polsce, a na kilku uniwersytetach studiuje się tę grupę. Ukazało się już drukiem kilka doktoratów na ten temat w Toruniu, Katowicach, Lublinie, Rzeszowie.

JSG: Jednym ze współtworzących „Kontynenty” był m.in. ksiądz profesor Janusz Ihnatowicz, laureat nagrody literackiej Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

FŚ: Cieszę się, że On i Jego mądre wiersze zostały w końcu dostrzeżone, gdyż wczesny wyjazd do Ameryki oddalił Go nieco od Londynu, głównego ośrodka emigracyjnych przetargów literackich. Dobrze też się stało, że zdążono uhonorować ogromnie pracowitego i zasłużonego dla teatru polskiego Bolesława Taborskiego (1927-2010).

JSG: Jak to się stało, że po 25 latach pobytu na Wyspach Brytyjskich przeniósł się Pan też do Londynu nad Tamizą, tylko że w Ontario?

FŚ: W moim życiu doświadczyłem wielu przypadkowości losu, jedną z nich była przeprowadzka z Wielkiej Brytanii do Kanady. Nie była to translacja ani zamierzona, ani nawet wyśniona. Jeden z moich kolegów z London School of Economics po stażu w Kanadzie, doniósł mi, że uniwersytet, który go zatrudnił był zainteresowany zaangażowaniem profesora języka hiszpańskiego, który miał doktorat Uniwersytetu Londyńskiego. Napisałem do kierownika katedry i dostałem zaproszenie na rok w charakterze wizytującego profesora nadzwyczajnego w roku 1969.

Niewiele wiedziałem o miejscu i uczelni do których się wybierałem. Po przyjeździe okazało się, że trafiłem do ślicznego miasta i renomowanej uczelni. Respektowano tam wiele angielskich tradycji znanych mi z Anglii. Po paru miesiącach zaproponowano mi stałą pracę, którą wykonywałem przez 22 lata do przejścia na emeryturę w 1991 roku.

JSG: Czym różniło się środowisko polonijne na Wyspach po wojnie od środowiska polonijnego w Kanadzie w latach późniejszych.

FŚ: Sądzę, że porównujemy tu sytuacje diametralnie różne. W przeciwieństwie do powojennego „polskiego” Londynu, w którym obserwowało się wysyp twórców, a jakość takich pism jak chociażby miesięcznik „Kultura” po dziś dzień nie została w Polsce osiągnięta, w prowincjonalnej Kanadzie skupisko polonijne, integrujące nowych imigrantów, z trudem próbowało w mało znanym środowisku znaleźć się gospodarczo, zakładało staroświeckie parafie i kontentowało się najprostszymi daniami kulturalnymi.

JSG: Ale po przyjeździe do Ontario, również rozpoczął Pan działalność kulturalną.

FŚ: W Kanadzie już w 1972 roku pomogłem założyć Polski Klub Dyskusyjny, który w prywatnym domu organizował spotkania i kulturalne oferty (mieliśmy m.in. wizyty Stefana Kisielewskiego, Jerzego Turowicza, Jerzego Pietrkiewicza). W lokalnej stacji telewizyjnej emitowałem 150 półgodzinnych programów telewizyjnych „Mosaic London”, w lokalnej bibliotece czytałem poezję po polsku i po angielsku.



JSG: Po przejściu na akademicką emeryturę, przyjeżdżał Pan wiele razy do Polski, by uczyć literatury hiszpańskiej młodych Polaków. Mówił Pan kiedyś, że traktuje tę pracę, jak spłacanie długu wobec ojczyzny. Jaki dług miał Pan na myśli?

FŚ: Na obczyźnie zdobyłem kwalifikacje i praktykę pedagogiczną. Wykładałem Anglikom i Kanadyjczykom przez ponad czterdzieści lat. Zapragnąłem się podzielić wiedzą także z Polakami i dlatego poczułem, że lata po przejściu na emeryturę, które spędzam w Polsce, są dla mnie niespodziewanym dobrodziejstwem darowanym przez los. Udało mi się zetknąć z setkami studentów nie tylko w Krakowie, Wrocławiu, Opolu i Częstochowie, ale także w Ostrawie i Wilnie. Jestem po dziś dzień w kontakcie z niektórymi, jedną z byłych studentek z Wrocławia, odwiedziłem w Phoenix w Arizonie, a kariery innych śledzę, z niektórymi komputerowo współpracuję.

JSG: Jaką radę mógłby Pan dać, tym wszystkim młodym ludziom, którzy pragną tworzyć?

FŚ: Jeżeli człowiek nosi w sobie istotne przesłanie, które chce wypowiedzieć i to w sposób niebanalny, pierwszą satysfakcję będzie miał, jeśli mu się to uda. To już jest osiągnięcie, bez względu na to, czy spotka się z przyjęciem czy nie. Ważne jest, żeby być sobą, żeby nie być epigonem niczyjej myśli, nie iść w ślady innych ludzi, podszywać się pod nich, nie bać się jasności. Odpowiedzialność za naszą twórczość gwarantuje jej autentyzm. Nie należy przejmować się modą. Bycie dekonstrukcjonistą czy postmodernistą jest czymś chwilowym i wtórnym. Sukces powinien być niespodzianką, nawet dla autora. Może on oznaczać wiele rzeczy. Także dojrzałość, względnie znalezienie własnego głosu. Młody człowiek winien najpierw poznać siebie i upewnić się, że na prawdę chce i musi pisać, bo jak się nuży i szybko odpada, to znaczy, że się tylko bawił.

JSG: Od wielu lat utrwała Pan historie związane z ludźmi twórczymi, o których powinno się pamiętać. Czym dla Pana jest bogactwo kontaktów i więzi międzyludzkich?

FŚ: Cieszyłem się zaufaniem i przyjaźnią wielu pięknych ludzi. Nie wszyscy mieli okazję, by obecność swoją zaznaczyć w ludnych i głośnych centrach. W

emigracyjnym rozproszeniu ginęły nazwiska twórców, którzy zasługiwali na pamięć. Dlatego jadąc do Kalifornii szukałem Jana Kowalika i Jana Leszcę, do Wenezueli – Przemysława Chróściechowskiego, w Londynie szukałem Olgi Żeromskiej i Wojciecha Gniatczyńskiego, w Hiszpanii odnalazłem Piotra Guzego. Cieszę się też, że Jan Darowski wyszedł z cienia. Chętnie o nich piszę przeświadczony, że robię dobrą robotę. Przekonany jestem, że więzy międzyludzkie są na emigracji konieczne, by przetrwało poczucie podstawowej, podskórnej solidarności. Związek Polaków w Niemczech przed wojną ustanowił własny, szlachetny kodeks postępowania i jedno z jego praw brzmiało „Polak Polakowi bratem”. Hasło nadal do zastosowania.

JSG: Stara się Pan, aby obraz przywoływanych postaci, który wyłania się z zakamarków pamięci był jak najbardziej prawdziwy.

FŚ: Nieraz ma się takie wahania, zastanawiamy się, co to jest tzw. prawda. Czy prawdą należy szkodzić człowiekowi, czy lepiej przemilczeć pewne rzeczy. Jeżeli przemilczeć, to czy zaznaczyć, że się czegoś nie dotyka? Myślę, że tu kultura człowieka ma duże znaczenie. No i wiek. W młodym wieku człowiek wszystkich chce atakować, myśli, że ma do tego prawo, właśnie w imię prawdy. Z wiekiem człowiek pokornieje i rozumie, że trzeba bardziej oględnie pewne sądy ferować.

JSG: Prowadząc aktywne życie zawodowe na polu nauki i kultury, a jednocześnie nie zaniebując życia rodzinnego, jak udało się Panu znaleźć czas na własną, tak bogatą, nagradzaną twórczość literacką i translatorską?

FŚ: Twórczość jest darem. Mogło jej nie być, mogła być bardziej wybitna, bogatsza. Nie była moją główną aktywnością i nie odbywała się w próżni, ale w życiu dość dramatycznym, na obcych ziemiach, wśród różnych ludzi, w przyswojonych językach. Wybory nie były wolne, przypadkowość wymagała szczęścia. A w czasach spokojniejszych było zbyt wiele pokus, obowiązków, powinności, ciężarów, prób, ciekawości. I one tę twórczość wybierały i kształtowały, ograniczały i wzbogacały. W żadnym momencie nie było dane skupienie się na jednym, by rezultat był godny, miał wagę swoją i rangę, miał ciężar gatunkowy i klasę. Niekiedy musiała wystarczyć powierzchowność, muśnięcie, wspomnienie. Twórczość musiała się zadowolić marginesem, skradzioną chwilą, ułamkiem uwagi. Brakowało fachowej krytyki, płynny był konsument, a ja unikałem doktrynerów. Starłem się stronić od

wysmażania schematów konstruowanych wedle uczonych recept modnych alchemików, radowały mnie spontaniczne podszepty rodzimego pióra zdumiewające nieraz piszącego. Te nieliczne bardziej udane teksty sprawiają niespodziankę. Do takich zaliczę przekład „Platero y yo” - „Srebroń i ja” Jimeneza, „Wyrocznie podręczną” Baltasara Graciana oraz „Historię o Abindarraezie i pięknej Haryfie” anonimowego autora. No i tuzin albo dwa wierszy.

Wywiad ukazał się w „Pamiętniku Literackim” w Londynie.

Śląskie emigracje i powroty



Kazimierz Kutz, fot. Bartłomiej Barczyk, za biografia24.pl.

Marek Baster: Co mówiła matka, kiedy wyjeżdżał Pan ze Śląska w wielki świat?

Kazimierz Kutz: „Pamiętaj, mój mały, z czepkiem w dłoni przejdiesz przez świat cały” ...

MB: To znaczy: bądź skromny i układny, tak?

KK: Nie narażaj się. Zdejmuj czepkę przed kimś, kto na to zasługuje. Nie szalej, nie buntuj się. To było przesłanie, które wynikało z wielopokoleniowego doświadczenia robotniczej sfery na Śląsku, gdzie strajki i powstania uczyły, że jak człowiek chce coś zmienić, to się naraża. Więc nie buntuj się. Mimo klęsk i sukcesów, żyj przyzwoicie – w gruncie rzeczy w zgodzie z Dekalogiem, z którym Ślązacy byli prawie na „ty”. Rób swoje i nie daj się zniszczyć – taka była filozofia mojej matki, która się bała o dziecko, które wybiera niebezpieczną ścieżkę, z dala od swoich.

MB: I co Pan zrobił z tym przykazaniem?

KK: Ja je wciąż słyszę. Bo można o mnie różne rzeczy mówić, ale w istocie pozostaję w środku skromnym człowiekiem. Między innymi dlatego, że nie myślę kategoriami biznesu czy kariery, tylko staram się robić swoje. Właśnie: z czepkiem przez ten świat przejść.

MB: No, to się sprawdziło.

KK: Wie pan, pewnie nie wszystko. Moja matka do końca życia nieludzko się o mnie bała. Że pyskuję, narażam się, że mnie napadają. Była przerażona, czytając z przejęciem o różnych moich wybrykach, ale z drugiej strony była szczęśliwa, że do czegoś dotarłem i że jestem kimś. I tylko drżała, żebym nie został przemielony. Ale wiedziała, że wszystko to jest efektem wolności, którą sama we mnie rozbudziła. Więc miała poczucie winy i satysfakcji jednocześnie. Jak się dowiadywała o jakichś moich przejściach, od razu sobie tłumaczyła, że za tę moją rogowatość będę odsuwany i biedny, że sobie nie dam rady w życiu, choć się jej do tego nie przyznam. W pewnym momencie, to było jakoś w stanie wojennym, przysłała mi swoją rentę. Bez słowa. Ja bez słowa jej te pieniądze odesłałem. I ona się na mnie bardzo obraziła.

MB: Wychowanie w wolności - to nie była wtedy zwykła na Śląsku postawa.

KK: Moja matka była genialna. Tutaj tak się chowało dzieci, żeby się kamuflowały, nie zdradzały. Pracuj i siedź cicho, bo jak nie, to będziesz miał problemy. A ona nas wszystkich wychowała w fantastycznej wolności, w której mogliśmy ujawniać charaktery, również z wszystkimi wadami. Wychowała nas po prostu na inteligentów. Ludzi, jak mówiła, okrzęsanych. Czyli po dzisiejszemu - wykształconych, którzy nie godzą się na bycie robolem, buntują się.

MB: Więc jednak bunt.

KK: Przeciwno śląskim ograniczeniom, które zakreślały świat naszych rodziców. Ja z grupą kolegów spędziłem okupację na samokształceniu. Dzieci powstańców, pierwsze pokolenie Ślązaków, które chodziło do polskiej szkoły - poszliśmy w konspirację kulturalną. Bardzo nie polską przecież, chociaż patriotyczną, bośmy byli przekonani, że ta Polska jednak będzie. Dlatego niewiarygodnie pracowaliśmy nad sobą. I nie Sienkiewicza czytywaliśmy, a Goethego i Woltera. A jak się wojna skończyła, byliśmy już inni od rodziców. Jeszcze strzelali, a myśmy lecieli zapisywać się do gimnazjum, do harcerstwa, do sportu. Wiedzieliśmy, że Polska potrzebować będzie mądrych ludzi. Ja miałem w głowie tyle książek, że nauczyciele dziwili się, skąd ten gówniarz tyle może wiedzieć. I bardzo dobrze kombinowaliśmy - powiem, że bardzo po śląsku, bo praktycznie.

MB: Ale zawód to Pan sobie wybrał mało „praktyczny”.

KK: Wie pan, ja idąc do szkoły filmowej nie wiedziałem, kim jestem ani jakie są moje możliwości. To była bardziej intuicja, bo przecież ta szkoła dopiero co powstała. Pewnie też miałem lęk przed uniwersytetem, bo chociaż mówiłem świetnie po polsku, kultura polska mnie onieśmiała. Jednak człowiek pochodzący ze Śląska, obracający się wśród ludzi niewykształconych, nie czuł tego dziedzictwa na sobie. Z mojej grupki jeden poszedł na medycynę, inny na ASP. Część pouciekała przed ruskimi, bo się strasznie bali, że jeden koszmar się skończył, to teraz przyjdzie Azja. A pokolenie, które przeżyło Wehrmacht, wróciło jako kompletne wraki. Ci ludzie już nigdy nie stanęli na poziomie swoich możliwości, choć byli szczęśliwi, że w ogóle do swojego gniazda wrócili. My, którzyśmy wojnę przeżyli na nauce, z tego gniazda wyfrunęliśmy.

MB: Ku karierze.

KK: Mnie by do głowy nie przyszło, że idę robić jakąkolwiek karierę. W ogóle. Ja chciałem być człowiekiem sztuki, chciałem być pożyteczny społeczeństwu. Chciałem służyć.

MB: Serio?

KK: Tak. Wtedy nie brało się w rachubę pieniędzy. Jeśli już, to człowiek myślał o prestiżu społecznym, że jak coś zrobi dla ludzi, to go będą szanować. To jest, sędzę, efekt myślenia jeszcze XIX-wiecznego, bo całe moje pokolenie było wychowane na tamtej kulturze, ze swej natury prospołecznej, organicznej. Zwłaszcza w moim przypadku, kiedy myśmy zawsze żyli w biedzie, ojciec i dziadkowie sprzedawali swoje ręce pracy. Dlatego w głowie miałem nie interes, a zapłatę za pracę. Ja to mam do dzisiaj, ja nie wiem, jak się zarabia duże pieniądze. Rozmawiam z kolegą reżyserem, który pracuje w reklamie, a on mi mówi, że za jeden dzień pracy w reklamie można dziś zarobić do 20 tysięcy. Taka reklama powstaje, powiedzmy, w pięć dni. To ja bym musiał w ciągu roku z pięć spektakli zrobić, i to w bardzo bogatym teatrze.

MB: Ale wtedy odnalazł się Pan w tym świecie, cudowne dziecko polskiego filmu, jak ryba w wodzie.

KK: Mnie wyjątkowo łatwo wszystko poszło. Oczywiście źle się ubierałem, byłem biedny, ale już na drugim roku zostałem asystentem dwóch katedr w szkole filmowej. Bo miałem przydatny w zawodzie instynkt wodzowski, no i tę ogromną ilość przeczytanych książek w sobie. A człowiek się jednak bierze z książek, prawda? Więc praktycznie nie chodziłem na wykłady, za to sam dostawałem pensję asystencką, która wystarczyła na codzienne utrzymanie ze stołówką, i zostawało 30 złotych. Potem, jeszcze na studiach, wchłonęła mnie produkcja – Wajda zaprosił mnie do „Kanału”, jako jedyne go z młodszego rocznika. Ponieważ okazało się, że jestem bardzo dobrym asystentem, mając tę swoją porządność śląską, zajął się mną Kawalerowicz. I kiedy organizowały się zespoły filmowe, byłem pierwszym człowiekiem, który zapracował na samodzielny debiut. Nie miałem wtedy jeszcze 30-tu lat. Film, który zrobiłem, „Krzyż Walecznych”, uznano w tamtym roku za najlepszy w Polsce. A konkurencja była już bardzo silna.

MB: I jeszcze parę lat, a rzuci Pan wszystko w diabły i wsiądzie w pociąg do Katowic.

KK: Aż za dobrze mi wszystko szło. Myślałem, że jak mi się wszystko udaje, to nic mi nie grozi. Wystąpiłem z buntowniczym filmem „Nikt nie woła”. To był skandal zaprogramowany: patrzcie, wszystko, co robiliście, jest do niczego, ja wam pokażę, jak się filmy robi!

MB: Myślał pan już o powrocie na Śląsk?

KK: W tym czasie w ogóle o Śląsku nie myślałem. Śląsk się wydawał rzeczą nie nadającą się do kina. Byłem wobec Śląska bezradny. I w jakiś sposób go nienawidziłem.

MB: Jak?

KK: Jak tu przyjeżdżałem, to wszystko było takie samo. Nie wiedziałem, jak się do tego wszystkiego zabrać. Wie pan, Śląsk jest jednak pusty, nie ma się na czym oprzeć. Polskie kino było oparte na literaturze, na konsumpcji tekstów. Było co konsumować. Na Śląsku nie było nic.

MB: Ale w 1967 wrócił Pan.

KK: Stwierdziłem, że jałowieję, że się rozpląwam w *dolce vita*. Żyłem w elicie warszawskiej pomiędzy pisarzami, ponieważ mnie filmowcy nie interesowali. Miałem słabość do kobietek. To był też okres wielkiego romansu z alkoholem. Wie pan, życie było tanie. Wódka była tania, a pozycja reżysera luksusowa. Dziś to śmieszne pieniądze, ale zarabiał się wtedy relatywnie dużo – przeliczając na pół litra, to było w ogóle nie do wypicia.

Już mi czterdziecha dochodziła i doszedłem do wniosku, że czas spoważnieć. Powiedziałem sobie – ja, *wunderkind*, który uciekł ze Śląska – że trzeba wrócić pokornie i próbować się zmierzyć z tym molochem. Że to moja szansa i obowiązek. Muszę zrobić film o Śląsku. Ale żeby to zrobić, trzeba się było zastanowić, co to jest Śląsk.

MB: A co to jest: Śląsk?

KK: To jest sierota, bez ojca i matki. Ma tylko siebie. Nie mieścił się ani w Polsce, ani w Niemczech. Okropna ziemia. Cały czas wykorzystywana, okradana, napadana, raz polska, raz niemiecka - no, kocioł potworny! Jakby jakieś przekleństwo wisiało nad tą ziemią. I kiedy sobie ten mój Śląsk nazwałem, pojawił się szacunek do tego, co tutaj jest. I rodzaj miłości do tego, co odmienne. A dla sztuki odmienność oznacza szansę pokazania oryginalności. Dlatego „Sól ziemi czarnej” dotyczy kluczowej sytuacji, kiedy po wiekach nastąpiło rozdarcie Śląska na Polskę i Niemcy. Powstał ten przeklęty kocioł, którego Ślązacy wcale nie chcieli, bo oni zawsze byli pomiędzy, a właściwie - zawsze na dole. Żeby to wyartykułować, musiałem znaleźć poetykę podnoszącą „regionalne” do „ogólnopolskiego”. Odrzucić wszystko, co człowiek czytał i zrobił, całą tę Polskę szlachecką, i po prostu zrobić coś z własnego nasłuchu. Wymyślić formę.

A jak już byłem gotowy - ta wielka potrzeba powiedzenia: patrzcie, to jest takie! To jest wielkie! I to jest moje! Ci wszyscy fantastyczni ludzie są stąd, tylko wy o tym nie wiedzieliście! Do dziś ludzie mówią mi, że nie znają takiego natężenia miłości do ojczyzny jak w moich śląskich filmach. Faktycznie, te filmy są wielkim krzykiem dziecka porzuconego przez matkę.

MB: A potem Śląsk Pana odrzucił.

KK: Idąc za ciosem, chciałem tu założyć zespół. Po to, żeby na jego podstawie mogło powstać regionalne centrum filmowe. Te moje filmy były dobrą do tego przygrzywką. To był jedyny zespół, który był poza Warszawą. Pomysł był taki, żeby zaprosić filmowców, reżyserów, scenografów, stworzyć im tu miejsce, które wykorzysta ich talenty i na bazie Śląska realizować programy w kinie i w telewizji regionalnej. Ekipa Gierka była przy władzy, sekretarzem do spraw ideologii był ten... jak on się nazywał... Szydlok. Pojechałem do niego z projektem takiej małej wytwórni filmowej. I mówię: proszę pana, macie władzę, zróbcie coś, chodzi o odrabianie niedoborów kultury górnośląskiej, to nie może być cały czas kolonia!

No i nic. Nie byłem Zagłębiakiem, nie byłem członkiem partii. A jednocześnie mówiłem cały czas to, co myślę, bez „ogródek”. Zostałem więc wrogiem publicznym. Nie tylko perspektywy filmowe, ale i moja egzystencja osobista się kompletnie skończyła. Tu nie było możliwości pracy.

MB: No i znowu Pan wyjechał. Albo uciekł, jak Pan woli.

KK: Jako człowiek zdrowy, uciekłem ze strefy zakażonej. Żeby móc w ogóle pracować. Zachowałem się jak zdrowy szczur, prawda?

MB: Nie szkodzi, dzisiaj też wszyscy stąd wyjeżdżają...

KK: Bo tam są pieniądze i decydenci.

MB: Ale żeby zrobić film o Śląsku, na przykład „Serce z węgla”, to przyjeżdżają inni.

KK: Dlatego, że, jak to się mówi, mieli dojdzie na Woronicza. A tutaj jest pełny analfabetyzm i ubezwłasnowolnienie. Szkoda, bo Śląsk naprawdę ma pokrycie, żeby być źródłem sztuki. Są młodzi reżyserzy, jest szkoła filmowa, wydziały teoretyczne – wszystko, żeby ujawniać potencjał odmienności Śląska.

MB: W „Soli ziemi czarnej” pyta Gabriel, czemu nam Polska nie pomogła, a Erwin odpowiada: „Może nas mo kajś”. A dziś?

KK: Dzisiaj jest coś gorszego: niezyczliwa obojętność dla Śląska. Przeciwno temu trzeba się buntować. Moje filmy takie były. O powstaniu, o strajku, o Habryce, który walczy o swoje. Myślę, że w jakimś sensie Śląsk jest ostatnim regionem w Polsce, w którym cała nadzieja w związkach zawodowych.

MB: Socjalista z Pana.

KK: Ja jestem liberałem, ze zdecydowanym skretem w lewo. Nie bez powodu lewica – ta bardziej okrzęsana – daje mi nagrody... (*śmiech*) I to nie ma nic wspólnego z rewolucjonizmem radzieckim. To jest bardzo europejskie. Moi rodzice byli PPS-owsami. Matka była radną miejską, pyskowała, więc się jej wszyscy bali. I ja od moich dzieci chciałbym tego samego, żeby się buntowały w słusznych sprawach. Bo to jest prawdziwe szczęście, żeby się buntować i żeby był z tego jakiś pożytek. Bo cały czas trzeba się buntować, także wobec siebie.

MB: Matka byłaby z Pana zadowolona?

Jak ją ostatni raz widziałem, właściwie zegnałem się z nią, ponieważ ona wiedziała,

że odchodzi, pocałowała mnie w rękę i podziękowała, że się na mnie nie zawiodła. A na koniec powiedziała: Nie musisz się o mnie martwić, bo na trumnę mam odłożone.

Rozmowa odbyła się w 2003 r.

Kazimierz Julian Kutz - urodził się w 1929 roku w Szopienicach, reżyser teatralny oraz filmowy, poseł VI kadencji. Jego rodzicami byli Franciszek Kuc, który był kolejarem, oraz Anastazja Kamińska. W młodości Kazimierz Kutz należał do Związku Harcerstwa Polskiego oraz do Czerwonego Harcerstwa Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Ukończył Państwową Wyższą Szkołę Filmową, Telewizyjną i Teatralną. Po jej ukończeniu pracował jako asystent Andrzeja Wajdy. „Krzyż walecznych” był samodzielnym debiutem Kazimierza Kutza. Popularność przyniosły mu filmy „Sól ziemi czarnej” i „Perła w koronie”, oba opowiadały o Śląsku. Od lat 70. inwigilowany, internowany w czasie stanu wojennego. W związku z krwawymi zdarzeniami jakie miały miejsce w kopalni „Wujek” zrezygnował z piastowanego stanowiska głównego reżysera regionalnego ośrodka telewizyjnego w Katowicach. Wielokrotnie wybierany do Senatu, poseł IV kadencji. Mimo że w wyborach do obu izb parlamentu startował z określonych partii politycznych, nigdy nie był członkiem żadnej z nich. (biografia24.pl).

Marek Baster, dziennikarz, redaktor miesięcznika „Śląsk”, współpracownik m. in. „Gazety Wyborczej”, „Rzeczpospolitej” i „Polityki”, pracownik Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Przeprowadził wiele świetnych wywiadów. Jego rozmówcy, wybitni artyści, naukowcy, politycy zwierzali mu się z rzeczy i spraw, których nikomu innemu by nie powiedzieli.

Zginął tragicznie w wypadku samochodowym 7 kwietnia 2004 r.

Całe życie byliśmy zakochani



Marta Eggerth w swoim domu w Nowym Jorku, 2005 r., fot. New York Times.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Wspomnienie o Marcie Eggerth, żonie Jana Kiepury, zmarłej 26 grudnia 2013 roku w wieku 101 lat.

Rok 2002, czyli stulecie urodzin Jana Kiepury, na całym świecie obchodzony był bardzo uroczyście. 16 maja w dniu urodzin Jana Kiepury odbyła się wielka gala w „Theater an der Wien” z udziałem Marty Eggerth i Marcela Pravego, wieloletniego sekretarza Jana Kiepury. Obydwoje dla naszego wielkiego śpiewaka nauczyli się języka polskiego. – Słuchając obecnie śpiewu Marty Eggerth i jej wypowiedzi – powiedziała, uczestnicząca w tym wydarzeniu Maria Fołtyn – pomyślałam sobie, jak wielkim szczęściem został obdarzony Kiepura, że znalazł w swoim życiu tak wspaniałą – zawodowo i prywatnie – partnerkę. Marta jest prawdziwą wielką damą. I

nie wiem, które z nich trzeba uznać za większego artystę - czy Jana Kiepurę, czy Martę Eggerth?

Podobno po premierze filmu „Czar Cyganerii” z 1937 roku w Berlinie, do garderoby przyszedł Hermann Göring, żeby złożyć gratulacje. Kiedy pochylił się, żeby panią Martę pocałować w rękę, zobaczył, że ta ma pomalowane na czerwono paznokcie. - Niemiecka kobieta nie maluje tak rąk - powiedział. Na to Kiepura - ona nie jest żadną niemiecką kobietą. Ona jest moją żoną.

Marta Eggerth poznała Jana Kiepurę, gdy miała 14 lat. Była córką znanej śpiewaczki i sama już występowała na scenie. Debiutowała w wieku 11 lat w partii Olimpij w *Opowieściach Hoffmana*. Uważano ją za cudowne dziecko. W operetkach pisano partie specjalnie dla niej. Pewnego dnia do Budapesztu na gościnne występy przyjechał znany już wówczas młody tenor, Jan Kiepura...

Wiedeńska opera prosi o stały engagement (po) 300 dolarów za występ, dając mieszkanie w pałacu cesarza Austrii, gdzie mieszkają najznakomitsi artyści tutejsi - pisał wówczas Kiepura do rodziny... - Londyn przysłał depezę, prosząc o występy. Mario Puccini, syn kompozytora, jest moim wielkim przyjacielem, razem z naczelnym dyrektorem Ricordiego napisali do Toscaniniego projektując zaangażowanie mnie do śpiewania premiery wznowienia Toski i Manon Pucciniego w La Scali.

...Pisma piszą, że ja już nie jestem drugim Caruso, a pierwszym Kiepurą.



Śpiewak był otoczony mitem, emanował z niego wielki urok. Marta zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Potem, gdy już dorosła, przeniosła się do Wiednia. Była niezwykle utalentowana, odnosiła sukcesy zarówno na scenie operowej, jak i w filmie. Na ekranie debiutowała w 1929 roku. Zagrała w kilkunastu filmach muzycznych. Z Janem Kiepurą spotkali się ponownie w Berlinie na planie filmu „Dla Ciebie śpiewam” (1934 r.) Film miał trzy wersje językowe, niemiecką, angielską, francuską. W wersji niemieckiej i angielskiej występowała Marta Eggerth, w wersji francuskiej Danielle Darieux. Wyglądało na to, że Kiepura był bardziej zainteresowany aktorką francuską, niż Martą, która na planie filmowym była pod opieką swojej mamy. Jan Kiepura jednak zwrócił na nią uwagę i był zadowolony (jak potem się przyznał), że Marta była w towarzystwie mamy, a nie innego mężczyzny. Kiepura miał wtedy 32 lata, a Marta 22. Dwa lata później w Polsce, w Katowicach odbył się ich ślub. W 1938 roku para śpiewaków wyemigrowała przez Paryż do Nowego Jorku. W latach 1944-1946 razem śpiewali na Broadway’u w „Wesołej wdówce” Lehara. Spektakl odniósł niebywały sukces, grano go przez 3 lata.

Po zakończeniu wojny pojawiali się przed kamerą sporadycznie. Po raz ostatni

wystąpili razem w filmie „Kraina uśmiechu” z 1952 roku, wyprodukowanym w Berlinie Zachodnim. Marta Eggerth była zawsze przy nim, aż do jego nagłej śmierci w 1966 roku. Wszyscy, którzy pamiętają ich obydwójce twierdzą, że byli wspaniałą parą zarówno w życiu, jak i na scenie.



Marta Eggerth i Marcel Pravy



Marta Eggerth przy portrecie Jana Kiepury.

Niedzielne popołudnie 6 października 2002. W Nowym Jorku piękna słoneczna pogoda. Telefon.

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Czy rozmawiam z Panią Martą Eggerth? - Przemily, ciepły głos w słuchawce odpowiada:

Marta Eggerth: O tak, czekałam na pani telefon.

JSG: Jak pani odbiera te niezwykle uroczyste obchody Roku Jana Kiepury na całym świecie w Wiedniu, czyli w miejscu z którym był szczególnie związany, gdzie zaczęła się jego wielka kariera, ale też i w Los Angeles, Chicago, Toronto, Australi?

ME: Jestem bardzo szczęśliwa, to dla mnie duże przeżycie. Niestety mogłam być tylko w Wiedniu. Bardzo jestem wdzięczna maestro Rozbickiemu, że przygotowuje tak uroczysty koncert w Toronto. Bardzo lubię Toronto. Bardzo lubię Kanadę.

JSG: A jak ocenia Pani obchody w Polsce?

ME: Niestety, nie mogłam być w Polsce, ale byłam tam całym sercem. Mój mąż był bardzo związany z Polską. Nigdy nie zapomniał skąd pochodzi. Przez całe życie pomagał, wysyłał do kraju pieniądze. Był bardzo dobry dla Polaków, bezinteresowny. „Chłopak z Sosnowca”, jak sam o sobie mówił.

JSG: Polacy też zawsze byli dumni ze swojego rodaka. Pogrzeb Jana Kiepury na Powązkach w Warszawie stał się wielką patriotyczną manifestacją.

ME: Cieszę się, że tak go wszyscy pamiętają.

JSG: Pani jest Węgierką, a tak dobrze mówi Pani po polsku. Czy czuje się pani też w jakimś stopniu Polką?

ME: O, tak, on był Polakiem, więc ja też jestem trochę Polką. Na początku mówiłam do mojego męża po angielsku i po niemiecku. A on do mnie tylko po polsku. Ja płakałam, złościłam się, mówiłam, że nic nie rozumiem, że mi trudno. A on mi powiedział, że jestem jego żoną, więc muszę znać język polski.

JSG: My Polacy bardzo odczuwamy Pani polskość. Dla nas jest Pani naszą rodaczką.

ME: Ja wiem, ja to czuję. Polak – Węgier, dwa bratanki...

JSG: Spotkałam panią na Festiwalu Muzyki w Łańcucie. Był maj, piękna, słoneczna pogoda, a pani miała swój wspaniały wieczór wspomnień w Sali Balowej Łańcuckiego Zamku.

ME: Pani tam była? Bardzo piękne miejsce, piękny pałac.

JSG: Pisałam pracę na temat artystycznych dziejów tej magnackiej rezydencji. Zbierając materiały trafiłam na ślady występów Jana Kiepury na łańcuckiej scenie, za czasów ostatniego ordynata Alfreda Potockiego. Brat Alfreda, Jerzy Potocki był przez szereg lat ambasadorem Polski w USA. Jego żona, Peruwianka, też dla niego nauczyła się języka polskiego.

ME: Och tak, znaleźliśmy ich. Mój mąż wiele razy występował w ambasadzie.

JSG: Jak Pani wspomina swojego męża?

ME: Był najlepszy na świecie. Całe życie byliśmy zakochani. Był czuły, troskliwy, nie było lepszego męża, ani człowieka. Całe moje życie, to właśnie mój mąż. Teraz młodzież tak szybko tyle nie osiąga. On miał 24 lata i już grał główną rolę w "Turandocie".

JSG: Państwa syn też jest artystą, tylko że pianistą.

ME: Marianowi, który niedawno nagrał płytę z utworami Chopina, zaproponowali występ. Ale on jest taki skromny. Nie zgodził się. Muszę przyznać, że mam najlepsze dzieci na świecie.

JSG: Czy był w Pani życiu moment szczególnie ważny, który Pani wyjątkowo wspomina?

ME: Nic takiego szczególnego w tej chwili nie przychodzi mi do głowy. Było tyle rzeczy. Byliśmy bardzo romantyczną parą od początku do końca. Jedno co mogę powiedzieć o moim życiu, że było w nim bardzo dużo radości, bardzo dużo śmiechu, ale też i bardzo dużo łez.

Galeria



Marta Eggerth i Jan Kiepura



Marta Eggerth



Marta Eggerth



Marta Eggerth

Pomiędzy emigracją a ojczyzną

Rozmowa z Piotrem Guzym, polskim pisarzem, byłym pracownikiem Radia Wolna Europa, mieszkającym obecnie w Hiszpanii.



Piotr Guzy

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Od 1979 roku mieszka Pan w Hiszpanii. Czy czuje się Pan w tym kraju jak siebie?

Piotr Guzy: W Hiszpanii czuję się bardzo dobrze. Mieszkam na drugim piętrze budynku odległego o 100 metrów od morza. Jest winda, dla mnie, jednonogiego

inwalidy wojennego, rzecz arcyważna. Ale nie mam tu żadnych prawdziwych przyjaciół. Od kiedy, 20 lat temu umarła moja żona, opiekuje się mną mój syn Juliusz. Ma on doktorat ze sztucznej inteligencji, z zamiłowania jednak jest artystą malarzem. Ma własne mieszkanie-studio, 50 metrów ode mnie.

Żona leży w niszy, w murze, na miejscowym cmentarzu, gdzie obok jest zarezerwowane miejsce dla mnie. Mam przecież 96 lat.

JSG: Pana ojciec, Juliusz był powstańcem śląskim. Proszę opowiedzieć o swoim domu rodzinnym.

PG: Ojciec, pracownik pocztowy, nigdy nie opowiadał o swoim udziale w dwóch powstaniach śląskich. Miejscowy oddział powstańców śląskich urządzał raz w roku majówkę nad Brynicą, gdzie się jechało umajonymi na zielono wozami. W domu było dużo dzieci, szkolne zadania domowe pisało się na kuchennym stole. Mieliśmy stosunkowo duży ogród, a więc też własne warzywa i owoce.

JSG: Jak to się stało, że zaczął Pan pisać?

PG: Moje pisarstwo zacząłem od napisania dwóch powieści po angielsku. Były na tyle dobre, że wziął je do znalezienia wydawcy agent literacki, polecony mi jeszcze w Poznaniu przez angielskiego pisarza. Tylko akurat w tym czasie „wybuchł” „Doktor Żiwago”, więc moje powieści nie miały żadnej szansy. I wtedy przerzuciłem się na język polski, napisałem „Krótki żywot bohatera pozytywnego”, który Jerzy Giedroyc z miejsca przyjął do opublikowania. Dał mi za niego nagrodę „Kultury”. Po sześciu czy siedmiu latach książka miała drugie wydanie. To był jedyny taki przypadek w historii Instytutu Literackiego. „Krótki żywot bohatera pozytywnego” został przetłumaczony na język niemiecki: „Kurzer Lebenslauf eines positiven Helden”, był też wiele razy recenzowany w prasie i radio. W tym roku ukazało się drugie niemieckie wydanie (Fisher Verlag), dwa darmowe egzemplarze przyszły właśnie wczoraj. W wolnej, postkomunistycznej Polsce książka nie miała ani jednego wydania mimo, że w „Dekadzie literackiej” ukazała się arcypozytywna recenzja. Szkoda, że polscy wydawcy jej nie zauważyli. Ale za to na Uniwersytecie w Rzeszowie pani Marcelina Janisz uzyskała stopień doktora za analizę mojej twórczości literackiej.

JSG: Wojna zdeterminowała Pana twórczość pisarską. Czy ten temat już się

dla Pana wyczerpał, czy nadal w Panu tkwi?

PG: Temat wojenny już wyczerpałem i nie sędzę, żebym miał do niego wrócić. Ale cóż tu można tak ostatecznie powiedzieć? Może się znajdzie jakaś ciekawa fabuła. Mnie na emigracji uważano za pisarza politycznego. Ja się przeciwko temu buntowałem. W dzienniku, który zacząłem pisać (pierwszy i jedyny odcinek Giedroyc wydrukował w „Kulturze”) napisałem, że moim marzeniem jest napisać powieść miłosną, w której A kocha się w B, ten zaś w C, C znowu w A. Taki miłosno- łożkowy romans. Zacząłem kilka powieści z taką intencją, ale po kilkunastu stronach wyrzucałem wszystko do kosza. Pokusa jednak trwa.

JSG: Po wojnie w Londynie studiował pan ekonomię polityczną i filozofię. Założył Pan też rodzinę. Co Pana skłoniło do tego, żeby z żoną Angielką i synem przyjechać do Polski w trudnych latach 50-tych?

PG: Nie zaliczyłem jednego przedmiotu na końcowym egzaminie na magistra ekonomii i nauk politycznych. A w Anglii nie można było pójść do profesora, który delikwenta przepytałby u siebie w gabinecie i ocenił. Tu trzeba było zdawać wszystko od początku i to pisemnie. Uznałem to za duży wysiłek. Poza tym chciałem pisać, myślałem, że Polska to nie Sowiety i da się tam żyć.

JSG: I dało się wówczas Państwu w Polsce żyć?

PG: W czasie prawie dziesięciu lat życia w Polsce zwanej „ludową” miałem trzy spotkania z bezpieką. Pierwsze było wkrótce po przeprowadzeniu się do własnego mieszkania w Poznaniu. Żona akurat wyszła na zakupy, byłem sam, siedziałem przy maszynie do pisania, gdy odezwał się dzwonek przy drzwiach. Poszedłem zobaczyć kto przyszedł. Dwóch facetów, jeden śmignął kwadratową legitymacją. „Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa, chcieliśmy z panem porozmawiać”. I już się pchają do środka. Powstrzymałem ich, niech wytrą buty o wycieraczkę (budynek jeszcze nie był wykończony), niech siadają i powiedzą o co chodzi. A chodziło o to, że oni zatrudniali studentów ze znajomością języka angielskiego.

„Zapyta taki Anglik na przykład, co to za dziwna konstrukcja na dachu domu. A ten od razu, że to jest aparatura do zagłuszania audycji Radia Wolna Europa w Monachium. Taki szczeniak chlapanie co mu ślina na język przyniesie, natomiast pan,

człowiek dorosły, życiowo doświadczony, to co innego”.

Powiedziałem, że chętnie im pomogę, ale nie teraz, jestem w trakcie pisania nowej powieści, to mi zajmie mniej więcej rok, więc jak skończę...

JSG: Bezpieka dała za wygraną?

PG: Nie, jeszcze się o mnie upominali. Drugie spotkanie odbyło się w kawiarni na skraju Placu Wolności w Poznaniu. Nie pamiętam jak do niego doszło, nie pamiętam też o czym była mowa, wiem tylko, że w pewnej chwili po prostu wyszedłem.

Trzecie spotkanie miało miejsce w burzliwym okresie przed buntem robotników zakładów ZISPO (dawny Cegielski, gdzie się produkowało parowozy kolejowe, lokomotywy, wagony). Pracowałem wtedy w redakcji „Tygodnika Zachodniego”. Zadzwoił telefon na biurku. „Przyjechaliśmy z Warszawy... itd.”. Zaproponowałem, żebyśmy się spotkali w Kawiarni Bałtyckiej, prawie u wylotu mostu kolejowego, czyli na tak zwanym Kaponerze. Dla mnie tym razem sytuacja mogła być niebezpieczna, gdyż niecały tydzień wcześniej w ZISPO odbyło się otwarte zebranie partyjne, na które mogli przyjść niepartyjni pracownicy. Dwóch niepartyjnych kolegów z redakcji mnie namówiło, żeby wziąć udział w tym zebraniu. W olbrzymiej hali było około dwóch tysięcy ludzi. Przy długim stole siedziało „naczalstwo”, ważni przedstawiciele wojewódzkiego komitetu partyjnego oraz przedstawiciele władz w Warszawie. Na lewo od nich było podium, na które wchodził robotnicy i wygarniali władzom partyjnym, co ich bolało. Brak masła na rynku, brak mięsa itd. Mówili jakby nie istniała cenzura. Na sali rozległy się olbrzymie oklaski. W pewnej chwili wstałem, zrobiło się cicho, powiedziałem, że też chcę coś powiedzieć. Przeszedłem całą salę, wstąpiłem na podium i powiedziałem, że robotnicy otwarcie mówią o swoich bolączkach, o których zresztą wie całe miasto, ale jak to będzie przedstawione w jutrzejszym wydaniu gazety partyjnej? Będzie napisane, że odbyło się otwarte zebranie partyjne, na którym omówiono aktualne problemy żywnościowe. Coś tym rodzaju. Dlaczego nie napisze się prawdy?

Gdy wracałem na swoje miejsce towarzyszyły mi oklaski i okrzyki dwóch tysięcy ludzi. I oczywiście w gazecie nic o tym nie było. Dopiero dwa dni później w zakończeniu innego artykułu napisano, że „obywatel Guzy powinien bardziej uważać w swoich wypowiedziach publicznych”.

JSG: Jak zatem przebiegło trzecie spotkanie z panami z bezpieki?

PG: Przed wyjściem na to spotkanie zaszedłem do sąsiedniego pokoju, gdzie pracował mój przyjaciel Włodzimierz Odojewski. Poprosiłem, żeby przyszedł do tej kawiarni jakieś pięć minut po mnie, usiadł gdzieś z boku i obserwował. Jeśli wyjdę sam, to będzie oznaczało, że wszystko jest w porządku, ale jeśli wyjdę razem z nimi, będzie to znaczyło, że mnie aresztowali. Wtedy niech pojedzie do mnie i opowie mojej żonie Ishbel, co się stało.

Przyszedłem. Oni już czekali na mnie. Usiadłem i pytam o co panom tym razem chodzi? Tym razem najbardziej ich interesowały moje wizyty w ambasadzie amerykańskiej w Warszawie. A ja tam zwykle raz na miesiąc jeździłem, żeby w wydziale konsularnym odebrać plik magazynów amerykańskich, potrzebnych mi w redagowaniu działu zachodniego naszego tygodnika. Raz konsul zaprosił mnie na kolację do ich prywatnego mieszkania. O tym panowie z bezpieki też wiedzieli. Powiedziałem mniej więcej tak. „Jeśli panowie mieli nadzieję, że uda wam się nakłonić mnie do współpracy, czyli zwerbować mnie jako waszego tajnego współpracownika, to się panowie pomylili. Nigdy, ale to nigdy, wybijcie to sobie panowie z głowy, nigdy!”

Wstałem i wyszedłem wsiadłem do najbliższego tramwaju, który szedł na „Łazarz” i pojechałem do domu. Powiedziałem wtedy żonie, nie ma co, wracamy do Anglii.

JSG: Oprócz spotkań z bezpieką miał Pan też, jako pisarz, naciski ze strony cenzury.

PG: W latach 50. ubiegłego wieku ciągle jeszcze istniały w Polsce liczne organizacje podziemne, które w ten czy inny sposób walczyły z władzą ludową. Taką organizacją na przykład była WIN, czyli Wolność i Niepodległość. Były ich zresztą dziesiątki. Niektóre działały spoza granicy, często organizacyjnie i finansowo wspomagane były przez Amerykanów. Wysyłano np. baloniki z literaturą antykomunistyczną w stronę Polski, były też organizowane przerzuty amerykańskimi samolotami ludzi, których zadaniem było organizowanie sabotażu w fabrykach, niszczenie maszyn itd. Bohaterem mojej powieści „Nocny zrzut” był właśnie taki człowiek zrzucony z amerykańskiego samolotu, który miał przeprowadzić akcję przeciwko władzy ludowej. Powieściowy bohater zaczyna się zastanawiać czy dobrze

postępuje, ale zanim do czegoś dojdzie, dostaje się w ręce bezpieki. Zdawałem sobie sprawę z tego, że temat książki jest trefny, ale tyle tam było wątków sensacyjnych, że dało się z tego skleić dobrą „dreszczową” powieść. Pisząc starałem się zachować dystans, żeby mnie nie oskarżono o propagowanie komunizmu.

W tym czasie w Poznaniu rozpoczęły się procesy robotników oskarżonych o czynną działalność przeciwko oddziałom wojskowym, które zalały miasto po uśmierzeniu czerwcowego buntu. W tej atmosferze miały się zadecydować losy mojej książki, którą wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej przyjęło do druku po poczynieniu w niej pewnych korekt.

Do Poznania przyjechał Kazimierz Koźniewski i w hotelu Bazar przez dwa dni robił korektę polityczną książki, linia po linii, słowo po słowie. Gdy oponowałem, mówił: „My Hamletów nie potrzebujemy, u nas albo jest się z nami, albo przeciwko nam”. Cóż miałem robić. Trzeba też pamiętać, że Polska przeżywała wtedy okres najgorszego stalinowskiego terroru, ludzie żyli w strachu, że Sejm uchwali przyłączenie Polski do Rosji sowieckiej i lada dzień rozpoczną się wywózki. W tej atmosferze moja książka została ideologicznie naprawiona i wydana. Nigdy się nią nie chwaliłem.

JSG: Po powrocie do Anglii pracował Pan w radio BBC. Na czym polegała Pana praca?

PG: W BBC pracowałem w monitoringu radiowym w Caversham obok Reading. Trzeba było zdać egzamin w Birmingham. W osobnym pokoju dawali arkusz papieru i ołówek, puszczały płytę z nagraniem „BBC NEWS”, trzeba było go wysłuchać, a potem trzeba zapisać to, co się zapamiętało. Zdałem egzamin bardzo dobrze. Po dwóch tygodniach dostałem *engagement*.

Pracowało się ze słuchawkami na uszach. Słuchało się dzienników polskiego radia oraz wybranych audycji. Ważne wiadomości trzeba było nagrać na *recorder*, a arcyważne tłumaczyć na angielski i zapisać na maszynie do pisania. W długich tekstach brało się stenotypistki do pomocy. Praca była stereotypowa, chyba że była jakaś wyjątkowa sytuacja. Pamiętam okres kryzysu kubańskiego, kiedy Ameryka postawiła ultimatum Sowietom, gdy ci instalowali swoje pociski balistyczne na Kubie. Ustalono godzinę, o której Rosjanie mieli dać odpowiedź. W całym tzw.

listening room nastąpiła kompletna cisza, a gdy minęła wyznaczona godzina i Amerykanie nie zbombardowali statków sowieckich, kolektywnie odetchnęliśmy z ulgą. Nigdy tej chwili ni zapomnę.

JSG: A jak wspomina Pan pracę w Radio Wolna Europa w Monachium?

PG: W rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa pracowałem przygotowując polskie dzienniki radiowe. Lubiłem tę pracę. Mieliśmy dwie maszynistki, choć rzadko z nich korzystałem. Pracę rozpoczynało się o różnych godzinach. Ostatni dziennik leciał o jedenastej w nocy. Szło się potem przez Ogród Angielski i przez puste miasto. Podobnie było, kiedy przygotowywało się pierwszy poranny dziennik, który, jeśli dobrze pamiętam, szedł o piątej rano.

Praca była interesująca. Nie miałem żadnych zatargów z dyrektorem panem Janem Nowakiem-Jeziorańskim. Szanował mnie mimo tego, że mu wygarnąłem całą prawdę o Henryku Rozpendowskim, który jeszcze w Poznaniu groził mi, że mnie może zlikwidować. Był kapitanem w organizacji, którą potem uznano za zbrodniczą. Kiedy Nowak miał imienny, to przed jego gabinetem ustawiała się 15-to metrowa kolejka, każdy przychodził z jakimś kosztownym podarunkiem. Znany był przypadek, że Nowak odmówił przyjęcia zbyt drogiego prezentu. Byli też ludzie, którzy już od rana czekali, aż Nowak będzie szedł do swojego gabinetu, żeby móc mu się ukłonić. Mnie takie zachowanie raziło.

Lubiłem Monachium, mieszkaliśmy na tzw. Szwabingu, do radia można było iść piechotą. Niedaleko były Alpy, często więc wyjeżdżaliśmy w góry na cały dzień.

JSG: Czy Radio to było w tym czasie kawałkiem wolnej Polski, poza jej granicami?

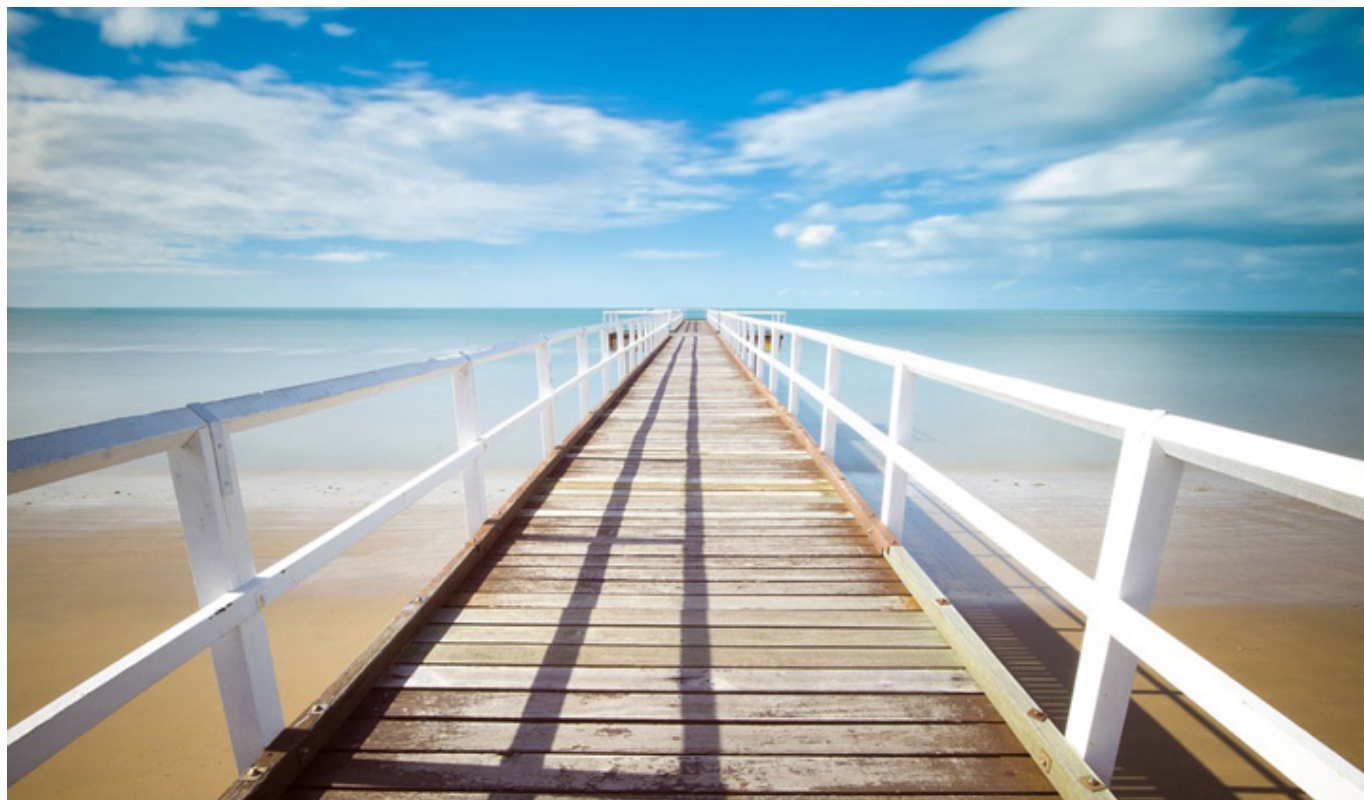
PG: Nie sądzę, żeby Radio Wolna Europa w Monachium stanowiło część wolnej Polski. Oprócz tych pracowników, którzy grali w brydża, reszta chodziła „luzem”. Ja w każdym razie do żadnej „ferajny” nie należałem, a w domu mówiłem po angielsku.

JSG: W czerwcu 2017 roku w Pana rodzinnych Tarnowskich Górach miało miejsce uroczyste spotkanie z Panem, z udziałem władz miasta. Jakie znaczenie miał dla Pana powrót do korzeni, po latach życia poza krajem, z

dorobkiem pisarskim osadzonym w problemach ojczyzny i jej trudnej historii?

PG: W Tarnowskich Górach byłem już wcześniej dwa razy. Teraz miałem wieczór autorski, byłem gościem mojego dawnego gimnazjum, poznałem kilka ważnych osób. W mieście kwitnie życie literacko-artystyczne, ale nie umiałbym tam znowu żyć. Lubię prywatność, samotność.

Tegoroczny przyjazd miał jednak dla mnie dodatkowe znaczenie. Pojechaliśmy do wsi, w której się urodziłem, Zawadzkie. Dom mojego dziadka i jednej z moich ciotek znajdował się po drugiej stronie rzeki Mała Panew (przed wojną „Małapana”). Dojazd był tam trudny, ale jak głośno o tym rozmawialiśmy, podeszła do nas pewna pani i zaproponowała: „Panowie sami zbłądzą, ja panów zaprowadzę”. Dzięki tej kobiecie znowu zobaczyłem dom, który pamiętałem z dzieciństwa i wymieniłem kilka słów z mieszkającymi tam ludźmi. Kiedy wróciliśmy i żegnaliśmy się przy samochodzie, podziękowałem tej pani i poprosiłem ją o podanie nazwiska. Padło nazwisko mojego wuja, którego żona była siostrą mojej matki. Okazało się, że jesteśmy spowinowaceni, a mój wuj był jej pradziadkiem. Ta kobieta ma dwie córki, jedna ma doktorat z nauk społecznych, pracuje i mieszka we Wrocławiu, druga, młodsza, jest magistrem germanistyki, pracuje w Zawadzkiem i mieszka z matką. Niezmiernie mnie to spotkanie uszczęśliwiło i miało dla mnie duże znaczenie. Byłem pewny, że nasza mocno rozgałęziona rodzina już wymarła, a okazało się, że nie. Może dożyję przyszłego roku, żeby tam jeszcze pojechać i się z nimi spotkać.



Piotr Guzy urodził się 15 maja 1922 r. w Zawadzkiem (Śląsk Opolski), zmarł 24 lutego 2018 r. w Walencji (Hiszpania). Uczęszczał do gimnazjum i liceum w Tarnowskich Górach. Brał udział w kampanii wrześniowej i był internowany w Rumunii. Stamtąd uciekł do Francji i wstąpił w szeregi wojska polskiego - służył w dywizji gen. Maczka. Po zakończeniu wojny studiował ekonomię polityczną i filozofię na Uniwersytecie w Londynie. W Anglii też założył rodzinę, ale wraz żoną i synem wrócił do kraju w 1949 r. Ukończył ekonomię na Uniwersytecie Poznańskim. W latach 1956-57 pracował w „Tygodniku Zachodnim”. W 1957 r. jednak wyjechał z powrotem do Anglii (powodem były prześladowania przez służbę bezpieczeństwa). Pracował dla BBC oraz Radia Wolna Europa. Od 1979 r. mieszka w Hiszpanii. Należy do Związku Literatów Polskich.

Powieści Piotra Guzego:

- *Następny odchodzi 22.25* (Warszawa 1955).
- *Nocny zrzut* (Warszawa 1955).
- *Cienie na gwiazdach* (Warszawa 1956).
- *Wenus z brązu* (Warszawa 1956).

- *Krótki żywot bohatera pozytywnego* (Paryż 1966, nagroda paryskiej „Kultury”, wydanie niemieckie 1968).
- *Stan wyjątkowy* (Paryż 1968, nagroda londyńskich „Wiadomości”).
- *Requiem dla pani Tosi* (Londyn 1990).
- *Zwidy na wysokościach* (Poznań 1994).

Piotr Guzy na Culture Avenue:

<http://www.cultureave.com/z-zawadzkiego-pod-walencje/>

<http://www.cultureave.com/polubilem-te-moja-samotnosc-piotr-guzy-1922/>

<http://www.cultureave.com/juz-nie-skrzypi-moja-szafa/>

<http://www.cultureave.com/zakamarki-pamieci-wspomnienie-o-marku-hlasce/>

<http://www.cultureave.com/uraza/>

<http://www.cultureave.com/upiorne-echa-przeszlosci-stan-wyjatkowy-piotra-guzego/>

<http://www.cultureave.com/literackie-swiaty-piotra-guzego/>